



Pół wieku w Dzierżanowie

*Jeżeli kochasz to co robisz,
to nie jest to praca.
– Konfucjusz*

Zygfred Mirosław BEHRENDT

Wprowadzenie redakcyjne

Pomimo jednokrotnego ledwie spotkania „face to face”, sporadycznych kontaktów telefonicznych i znacznej odległości, Pan Zygfryd Mirosław jest mi niezmiernie bliski.

Jest on duszą otwartą, przyjacielską i władcą, przy czym władczość opisałbym słowami - „mogę, i chcę wiele pomóc, i zrobię to, bo taka moja natura.” Niezwykle ciepło i ze zwałą odnosi się do partnerki swojego życia, pochodzącej z Przytuł w gminie Krasnosielc. O swojej pierwszej żonie Elżbiecie z domu Zduniak, ... jedynej jak dotychczas!, pisze z nieustającym młodzieńczym uczuciem – z całą pewnością wiele Pań tego jej pozazdrości. Zbiór wierszy – „niewierszy”, to powód do dumy dla Autora i adresatek, ku zawstydzeniu innych panów... niestety.

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny z wielką przyjemnością więc, dokonuje przedruku książki Pana Zygfryda Mirosława, w której z wielkim humorem opisuje swoje życie. Przypadło ono na rozkwit, a chwilę później upadek Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W tym nieuczciwym ustroju Polacy jakoś sobie radzili, prowadząc niejako podwójne życie. Nasz bohater robił to wyjątkowo skutecznie, odbierając wyrazy uznania zarówno od władz, jak i zwykłych ludzi. Tworzył, budował ... i to to na wielu, wielu płaszczyznach. Zapraszam do lektury, warto.

Książka ukazała się drukiem w „rodzinnym” nakładzie w 2020 r. pod redakcją Ryszarda Józefa Suty, któremu bardzo dziękuję za udzieloną pomoc przy opracowaniu edytorskim tego artykułu.

*Sławomir Rutkowski
Redaktor wydania*

Wstęp

Słowo się rzekło książka (zastępcza) przed Państwem!

Kiedy 5 lat temu, na naszym Jubileuszu wręczałem książkę pt. „Horyzonty wspomnień” Pana Zbigniewa Mieczkowskiego o Dzierżanowie (i nie tylko), powiedziałem, że na następnym spotkaniu prezentem będzie moja książka...

I oto jest!

Dla zachowania pewnej ciągłości historycznej postanowiłem, tak jak u Pana Mieczkowskiego, umieścić na okładce fotografię przedstawiającą orkę. To samo gospodarstwo, tylko tam orka w konie – tutaj traktorem. Minęło 100 lat, a my rolnicy, wciąż „czynimy sobie ziemię poddaną”.

Obecnie w Polsce mało kto czyta książki, ale Wszyscy piszą – co mnie poniekąd usprawiedliwia. Zatem do dzieła!

Zygfred Behrendt

Życiorys

Urodziłem się we wsi Buk Góralski, gmina Jabłonowo Pomorskie, województwo (wtedy) bydgoskie. Nazwa wsi wywodzi się od lasów bukowych i założycieli – Górali...! Kilka wieków temu, dwie rodziny Górali – uciekając przed Kimś (lub przed czymś?) osiedliły się w bukowych lasach pojezierza brodnickiego.



Pierwsze dni „dyrektorowania” w Dzierżanowie – listopad 1975 r.

Moi rodzice byli rolnikami. Dziadkowie również, ale częściowo. Babcia ze strony Mamy (Marta Makowska) wyszła za mąż za Franciszka Chodorowskiego (z zawodu stolarza) i zaczęli gospodarować na Jej „ojcowiźnie” (4,5 ha). Ojciec Babci był murarzem. Dziadkowie moi powiększyli gospodarstwo do 10 ha, prowadząc je zupełnie tradycyjnie.

Dziadek dorabiał stolarką – świadczył usługi sąsiadom. Robił meble, naprawiał wozy, bryczki.

Po II wojnie światowej z Ich jedyną córką – Łucją (moja Mama) ożenił się Franciszek Behrendt – z sąsiedniej wsi – Górale. Franciszek – mój Ojciec – z zawodu był krawcem. Jestem więc, pierwszym – od 3 pokoleń – rolnikiem z wykształcenia!

Ojciec wrócił z wojny dopiero w 1947 roku – był żołnierzem generała Andersa. Koniec wojny zastał Go w Anglii – jak wielu innych przeżywał dylemat – wracać do Kraju czy zostać na Zachodzie?

Wrócił.



Zygfred Mirosław Behrendt przy żniwach 2012 r.

Rodzice – razem z Dziadkami – gospodarowali dalej, powiększając gospodarstwo do około 25 ha. Jako najstarszy z rodzeństwa pomagałem we wszystkich pracach. Było nas czworo – brat Ireneusz (już niestety nie żyje) i Bogdan oraz siostra Lidia. Bracia, po szkołach zawodowych gospodarowali na Ojcowiznie, a siostra po skończeniu teologii w Warszawie na Uniwersytecie Stefana Wyszyńskiego została katechetką.

Gospodarstwo było zupełnie tradycyjne, tak więc uczestniczyłem we wszystkich pracach polowych i podwórkowych, ale też zimą łuskałem fasolę, groch. Obserwowałem Babcię przędącą wełnę i Mamę robiącą na drutach skarpety, swetry, szaliki...

Były też tak egzotyczne prace jak produkcja soku z buraków cukrowych (służył potem w kuchni do słodzenia np. ciast). Robiło się wędliny (na Święta!), kisiło kapustę, ogórki i... podskubywało gęsi! (z pierza były poduszki i pierzyny). Ojciec robił wino – nawet z pszenicy! Uprawialiśmy wszystkie zboża, buraki cukrowe i pastewne, ziemniaki, len, rzepik, lucernę i koniczynę czerwoną. Inwentarz żywy to: 2 konie, 10 sztuk bydła, 50 świń (bekony do zakładów mięsnych w Brodnicy – eksport do Anglii), owce, gęsi, kaczki, kury, gołębie, króliki. Były wtedy tzw. obowiązkowe dostawy produktów rolnych – niewykonanie ich groziło grzywną lub aresztem! Mój ojciec raz trafił za to do aresztu (na kilka dni). Pewnie gdzieś tam pamiętano, że był w tej niedobrej politycznie Armii, a wrócił dopiero w 1947 r.

W rodzinnej wsi otrzymałem więc za darmo podstawową wiedzę rolniczą. Jako kilkuletniak potrafiłem zaprzęgać konie, orać (pług był już na kołach) bronować, siać.

Żniwa – święto dla Rolnika – wspominam tak: – pierwszy w pole kosić żyto wychodził z kosą Dziadek (zawsze w czystej, białej, lnianej koszuli!). Obkaształ pole dookoła, Babcia wiązała snopy powrośtem (czyli słomą), a ja odnosiłem je na bok. Potem na pole wjeżdżał Ojciec żniwiarką („Przodownicą”) i kosił. Mama z Babcią wiązały snopki, a ja z Dziadkiem (później z młodszym rodzeństwem) ustawialiśmy „stygi”.

Stodoła nie mieściła wszystkich zbóż – stawiało się więc stogi. Postawienie ładnego symetrycznego stogu świadczyło o Gospodarzu! Pewnie wtedy już rozumiałem że wszystko w przyrodzie jest symetryczne i proporcjonalne – drzewa, kwiaty... I to jest piękne!

Ważną czynnością była młocka – do gospodarstwa przyciągano (w konie!) młocarnię i lokomobilę! Później młocarnie (MSC – 9) napędzane już były przez silniki spalinowe, lub traktory, a następnie silniki elektryczne. W młóce pomagali sąsiedzi, którym tą pomoc się potem odrabiało. Jako nastolatek stawiany byłem zwykle przy słomie, albo przy noszeniu worków ze zbożem na strych.

Była to naprawdę ciężka robota! W gospodarstwie musiał być porządek (u nas, na Pomorzu – „ordnung”). Pozostawienie skrawka pola nieruszonego broną lub jednej komosy w ziemniakach powodowało (ze strony Ojca) ogromną burę! Bywałem też odrywany od lekcji czy też kolacji z powrotem do stajni, bo po moim obrządku Ojciec znalazł słomę (jedną!) na korytarzu...

Potem to się zmieniło – moi Bracia byli traktowani już łagodniej. Ja jednak z przyjemnością wspominam np. wspólne z Babcią zmiatanie podwórza w każdą sobotę... Ten „ordnung” (porządek) pozostał mi do dziś – wszystko musi być równo „pod sznurek” i na czas!

Edukacja

Szkołę Podstawową (7 klas) w Góralach wspominam dobrze. Wspaniali nauczyciele – małżeństwo Felicja i Eugeniusz Boberek – przekazali nam wiedzę, otworzyli oczy na świat, byli motorem napędowym całej wioski. Pomagało im dwoje młodych nauczycieli po studiach. Nie było wtedy „pensum”, te cztery osoby radziły sobie więc dobrze z 7 klasami (około 90 dzieci). Popołudniami (i w Niedziele!) prowadzili Teatr (wystawiano „Zemstę”, „Ożenek” itp.). Aktorami byli nasi Rodzice i Oni – Nauczyciele. Potrzebne do poszczególnych scen elementy dekoracji, miecze i inne rekwizyty wykonywał z drewna mój Dziadek – stolarz.

Kierownik Szkoły prowadził też szkolny klub sportowy, rozbudowywał Szkołę itp. Pani od historii założyła i prowadziła harcerstwo, były ogniska, obozy, pochody itd. Stąd pewnie moje „społecznikowskie” podejście do życia. Człowiek powinien robić coś więcej niż musi. Zrobić coś dobrego dla innych to ogromna satysfakcja! A ponadto – dobro wraca! (podobno...)

Tą samą Szkołę w Góralach wcześniej kończyli moi Dziadkowie – tyle, że językiem urzędowym był wtedy niemiecki...

Za użycie na przerwie języka polskiego dostawało się lanie od nauczyciela – opowiadała babcia. Moja mama też się w tej szkole uczyła – 2 lata – potem wybuchła wojna... Poprzednie pokolenia – jak wszyscy na Pomorzu – zdobywali więc edukację po niemiecku. Polski znali tylko z domu i z... książeczek do Nabożeństwa.

Dziadek (ze strony Ojca) Józef Behrendt z Żoną Aleksandrą za chlebem wyjechali do Niemiec. Dziadek Józef 16 lat był górnikiem w Gelsenkirchen, w Westfalii. Tam urodziło się troje Ich dzieci – w tym mój ojciec Franciszek. Tym faktem tłumaczę czasem moje imię i nazwisko – choć prawda jest inna. Imię – według mojej Babci – jest „czysto pomorskie”, a zresztą na drugie mam Mirosław (czyli lubiący pokój). Nazwisko – pierwotnie Berent – to ród kaszubski herbu Taczała (według mojego szwagra), któremu król Jan III Sobieski nadał miasto Kościerzynę.

Mój szwagier, doktor nauk medycznych Janusz Grochowski, specjalista chorób wewnętrznych, nefrolog i diabetolog jest znakomitym lekarzem, a ponadto jest pasjonatem historii. Wygłasza odczyty o historii Mazowsza oraz działa w regionalnych organizacjach historycznych.

Przed wojną Kościerzyna nazywała się Berentstadt. Będąc kiedyś w Kościerzynie, w Muzeum, pokazałem Pani Kustosz swoją wizytówkę – Pani potwierdziła, że to „nasze” miasto – ładne zresztą.

Historia Polski – zwłaszcza na Pomorzu (na Śląsku również) jest bardzo trudna... Ja, wychowany na „Czterech Pancernych” i „Klosie” zadawałem Dziadkom wiele trudnych pytań, szczególnie gdy mając jakieś tajemnice, mówili po niemiecku. Zapytałem kiedyś konkretnie – czy Dziadek jest Niemcem czy Polakiem? W odpowiedzi usłyszałem: – jestem Pomorzakiem! Dziś rozumiem te zawilości, wtedy jako kilkuletnie dziecko wierzyłem, że jedynym naszym wrogiem na świecie są Niemcy! Reżyser Kazimierz Kutz na podobne pytanie wiele lat później odpowiedział „jestem Ślązakiem”.

Mogłem do tego pomorskiego pochodzenia podejść praktycznie i nauczyć się w domu niemieckiego, ale uparcie udawałem, że nie rozumiem jak Babcia Marta mówiła – „podaj mi ten teptuch, co leży na szranku” (chodziło o ścierkę leżącą na szafie).

W Góralach, poza szkołą była nasza Parafia, gdzie w pięknym, drewnianym Kościele poznałem i polubiłem wiarę. Ministrantem nie byłem ale Ks. Proboszcz (Konrad Reński) miał nadzieję, że pójdę do... Seminarium!

Ubierany przez Niego w szaty liturgiczne musiałem stawać przy ołtarzu, a On sprawdzał czy mi to pasuje... Już będąc studentem (jedynym wtedy we wsi) musiałem czytać przed Ołtarzem „lekcję” – obowiązkowo w białej, studenckiej czapce! Ksiądz proboszcz był zadowolony – ja mniej (cała wieś słuchała!). Na seminarium się nie zdecydowałem – pewnie już wtedy wiedziałem, że gdzieś tam czeka Elżbieta... Ksiądz Reński wychował jednak dwóch księży – młodszy mój kolega

– Janusz – jest proboszczem w diecezji Pelplin, drugi – Jan – gdzieś w toruńskiej.

Moja Szkoła Średnia to Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy – istnieje od 1873 roku! Tutaj też trafiłem na prawdziwych nauczycieli – pasjonatów. Pan mgr Jan Adamczak nawet mnie nauczył (trochę) matematyki! Uczył nas logicznego myślenia. Wezwani do odpowiedzi słyszeliśmy np. – proszę chodzić dookoła biurka! Dopiero kolejny z kolegów zapytał – a w którą stronę Panie Profesorze? I to było to na co czekał Profesor! Ten, który zapytał dostał „5” pozostali „2”! Na maturze pan Profesor podszedł do stolika, przy którym kończyłem już prawie trzecie zadanie (chyba ze „ściągą”), spojrzał, zabrał moją pracę i powiedział – nie męcz się „piątki” i tak Ci nie dam! Prace maturalne sprawdzali wtedy Nauczyciele, którzy nas uczyli 4 lata – znali więc nasze możliwości, a zatem oceniali obiektywnie. Dzisiejsza anonimowość, testy, itp. – wypaczają sens uczenia się! Uczenie się to rozmowa mistrza z uczniem – nie lepszego nie da się wymyślić!

Pierwszą „dwóję” w Liceum dostałem z historii. Sprawdzian z dat (na każdej lekcji!) – Pan mgr Smoliński rzucił – Behrendt – bitwa pod Cedynią? – dukam – dziewięćset siedemdziesiąt... dwa! – podpowiada Profesor i kończy – siadaj, dwójka! I tak oto zapamiętałem na całe życie – bitwa pod Cedynią – 972 rok. (Mieszko I wygrał z wojskami Hodona).

Biologia – Pan mgr Witold Golubski – jednocześnie nasz wychowawca. Prowadził koło biologiczne, przy aktywnej pomocy całej klasy. Klasę mieliśmy zresztą w Pracowni biologicznej. Dzięki Niemu lepiej rozumiem przyrodę, naturę – jako całość.

I wreszcie Pani od polskiego – mgr Roma Chojnicka... Polonistka prawdziwa – mówiąca ze swadą o książkach, ich autorach itp. Takich Nauczycieli pamięta się całe życie – również w anegdotach.

Na jednej z lekcji koleżanka odpytywana z życiorysu Adama Mickiewicza przyznała, że nie zna daty urodzin poety – bo nie zdążyła się nauczyć. Tu padło zdanie Pani Profesor – Polak nie może się uczyć życiorysu Mickiewicza! Polak rodzi się i już takie rzeczy wie! Piękne. (Adam Mickiewicz 1798-1855)

Pisaliśmy wtedy w Szkołach dużo „wypracowań” – było to bardzo mądre! Jedno pamiętam, było o miłości w literaturze. Napisałem dużo – z wnioskiem, że prawdziwa miłość zdarza się w życiu tylko raz! (Do dziś tak zresztą uważam!). Za kilka dni sprawdzone prace wróciły – u mnie, zamiast oceny Pani Profesor napisała: – nie mogę ocenić Twojej pracy, gdyż mam inne zdanie... I to jest esencja nauczania – (nie tylko j. polskiego) dialog mistrza z uczniem, zgoda na inne poglądy.

W ostatniej klasie Liceum, wyrwany do ustnej odpowiedzi z twórczości Marii Konopnickiej, mówiłem długo i „kwieciście” – zamiast oceny usłyszałem – poprowadzisz lekcję na ten temat w równoległej klasie (były u nas klasy A, B, C) – zrobisz to bowiem inaczej niż ja. Lekcja się odbyła (klasa była żeńska), dziewczyny miały łzy w oczach jak mówiłem o „Naszej Szkapie” czy noweli „Dym”. Ja też prawie płakałem bolejąc nad niedolą „Szkapę” czy „Marcysia”. Cóż – nie wstydzimy się wzruszeń...

Języków obcych (łaciny, francuskiego i niemieckiego) uczyła mgr Wanda Truszczyńska wyedukowana m.in. we Francji (przed wojną!). Mówiliśmy na nią „Babcia”. Była chodzącym dobrem! Metody nauczania proste – pierwsza lekcja francuskiego, wchodzi do klasy „Babcia” i słyszymy „Bonjour mes enfants”. Klasa ryknęła śmiechem – nie przecież nie zrozumieliśmy. Pani Profesor wyjątkowo – po polsku wyjaśniła, że teraz już zawsze na Jej lekcjach mówimy tylko po francusku! Musieliśmy się więc szybko nauczyć. Po czterech latach mówiliśmy normalnie w tym pięknym języku. Jak zbliżała się trudna klasówka, prosiliśmy Henia Wierzbickiego, żeby przyniósł do szkoły akordeon i kiedy „Babcia” wkraczała do klasy – „ryczeliśmy” Marsyliankę! „Babcia” stawała wzruszona i zwykle przekładała klasówkę na później.

Nauczycieli otaczaliśmy niewymuszonym szacunkiem. Wystarczyło, żeby któryś z pedagogów pojawił się w czasie przerwy na korytarzu, a rozmowy cichły – stawaliśmy na baczność! I tak powinno być!

Całe 4 lata Liceum mieszkałem w internacie – takim prawdziwym. Do domu wyjazd raz w miesiącu, dyżury w kuchni, sprzątanie, ścielenie łóżka w „kostkę” (jeśli było nierówno to wychowawca robił „samolot”). Kolegom z czwartej klasy, my „pierzyski” nieraz czyściliśmy też buty, itd. Nie czuliśmy się poniżeni – taki zwyczaj i już! Pierwszy posiłek w stołówce to była też lekcja dobrych manier. Wychowawca – stale obecny przy posiłku, wyjaśniał jak się „obsługuje” sztućce, jak się prawidłowo siedzi przy stole, gdzie się trzyma ręce itd. Było to bardzo potrzebne – człowiek z Maturą musi wszak umieć się zachować! (resztę wiedzy może mieć w komputerze). Dziś z żalem obserwuję młodych, bardzo wykształconych ludzi, którzy jednak nie potrafią... zjeść poprawnie zupy! Szkoda – nie da się Ich zaliczyć do inteligencji, mimo wysokiego „wskaźnika inteligencji”, ukończonych studiów, kursów itp. Nie ma kto nauczyć Ich podstawowych zasad wychowania. W domu tzw. „luz”, w Szkole... Obserwowałem ostatnio obiad w restauracji grupy młodzieży szkolnej – dzieci jadły byle jak, a Nauczyciele zajęli się sobą przy oddzielnym stoliku! A była świetna okazja do przeprowadzenia „lekcji wychowawczej”...

Wakacje, to zawsze był piękny czas – prace polowe, trochę rozrywki np. wędkowanie (jezior wokół domu było kilka), czytanie książek („Trylogia” – kilka razy!). Dzieci ze wsi nie jeździły wtedy na kolonie – trzeba było pomagać rodzicom. Ja bardzo to lubiłem – coś już wtedy „kielkowało” – może by tak zostać rolnikiem? Ojciec uważał jednak, że jako najstarszy i po Maturze powinienem iść „w świat” – na roli miał zostać któryś z młodszych braci.

Namawiany przez Nauczycieli z Liceum i Rodzinę, postanowiłem złożyć „papiery” na UMK w Toruniu – oczywiście polonistyka!

W ostatniej chwili jednak w tajemnicy przed wszystkimi – wysłałem dokumenty do... Olsztyna, na wydział rolniczy WSR. I to był strzał w dziesiątkę! Z mojej maturalnej klasy do Kortowa poszli jeszcze – Stanisław Koprowski, Henryk Wierzbicki i Jan Liedtke – ten ostatni na weterynarię. Wszyscy się dostaliśmy – poziom Liceum w Brodnicy był wysoki. Wszyscy też skończyliśmy, choć już Akademię Rolniczo-Techniczną! Egzamininy wstępne nie były zbyt trudne, ale na jedno

miejsce „startowało” około 3 osób. Pamiętam, że na ustnym z biologii wylosowałem 3 identyczne pytania jak na maturze. Uśmiechnąłem się.

– Co panu tak wesoło? – zapytał członek Komisji mgr Trzebiatowski, który potem miał z nami ćwiczenia.

– Miałem te same pytania na Maturze – mówię.

– I jak poszło? – pyta.

– Dostałem „5” – odpowiedziałem.

– To u mnie też ma Pan „5”, a odpowiadać Pan już nie musi!

To się nazywa mieć szczęście! Dzisiaj niestety testy zawałdnęły światem i taki „inteligentny” egzamin nie jest już możliwy...

Studia – piękny czas – pierwsze 2 lata solidna nauka, potem studia właściwe tzn. obok przyswajania wiedzy, poznawania świata, ludzi, ćwiczenie umysłu – słowem dorastanie do miana człowieka wykształconego. Tak było – czy tak jest teraz? Pięć lat życia w Kortowie (w moim przypadku – sześć) trudno opisać w kilku zdaniach, ale próbować trzeba!

Trudno było mi przebrnąć matematykę – dr Kreft! (stawiał nawet „jedyńki” i „zera” – leżące!) Chemia nieorganiczna to też był dla mnie problem – w Liceum nie mieliśmy np. zadań! Tu przy chemii – 3 anegdotki. Asystent mgr Bardzicki na kolejnych ćwiczeniach, po wyłuszczeniu problemu (zadania!) pyta:

– Czy pan Behrendt rozumie?

– Tak – odpowiedziałem.

– No, to znaczy że cała grupa rozumie – mówi Pan mgr.

Drugi przypadek to rozpoznawanie soli (należało zrobić analizę) – wraz ze Starostą grupy wpadliśmy jednak na pomysł żeby wyjść „do toalety” – na korytarzu, w gablocie stały przecież opisane wszystkie sole! Po co się męczyć? Na tym rozpoznawaniu przyłapał nas jednak mgr Bardzicki... Innym razem, po mojej ustnej odpowiedzi Pan magister stwierdził że zaliczyć mi nie może, ale może mi podpowiedzieć, o której godzinie jest pociąg w moje rodzinne strony (14.20 do Jabłonowa). Wystarczy wsiąść i nie trzeba będzie się męczyć dalej z tą chemią – powiedział...

Dziś pewnie już tak się nie studiuje...

Potem z chemią się „polubiliśmy”. A było tak. Nie uzyskawszy zaliczenia semestralnego, zmartwiony stałem na korytarzu Katedry Chemii. Traf (szczęśliwy) chciał, że do swojego gabinetu zmierzał sam Profesor Wiktor Wawrzyczek – Szef Katedry. Zatrzymał się i zapytał:

– Kolego, czy coś się stało?

– Nie mogę zaliczyć ćwiczeń z chemii, a bardzo chcę studiować i zostać rolnikiem – mówię.

– Proszę do mnie – rzucił Profesor.

W gabinecie zadał mi parę pytań z chemii, ale również pytał skąd pochodzę itp. Zapytał też z kim mam ćwiczenia. Po chwili usłyszałem – proszę dać tę kartkę Asystentowi prowadzącemu ćwiczenia. Podziękowałem i wyszedłem – na kartce przeczytałem – „Zaliczam ćwiczenia Koledze Behrendtowi” i podpis – Wiktor Wawrzyczek... To był Profesor prawdziwy! Lubił i cenił studentów, ale wymagał też szacunku w drugą stronę – na egzamin obowiązkowo przychodziło się w garniturze i białej koszuli. Profesor zachęcał do zapisywania się do AZS (siatkówka – I liga!) i do chóru – wtedy – jak mówił – egzaminu zdaje się „śpiewająco”!

Miałem szczęście słuchać wykładów również innych wielkich Profesorów jak – Witold Niewiadomski, Janina Wengris, Zygmunt Tomaszewski, Hjalmar Ugla. Rektorem był też wielki człowiek z klasą – Profesor Tadeusz Krzymowski.

Profesor Niewiadomski (uprawa ogólna) mówił np. przez całą godzinę wykładu o... hippisach w Szwecji (po powrocie z konferencji) albo o „głębokiej myśli technicznej” ukrytej w samochodzie Fiat – 125, którego właśnie kupił. Wykład był więc zupełnie nie na temat ale słuchało się z zapartym tchem! Często przy pełnej auli siedziało się na schodach! To był Profesor – Mistrz! Potem – już jako swojego asystenta, a początkującego myśliwego uczył mnie (na korytarzu katedry) prawidłowej pozycji przy... składaniu się do strzału! Profesor polował, ja zaczynałem, strzelbę udawał wskaźnik do plansz.

Łowiectwo

Na piątym roku studiów zostałem myśliwym. Egzamin u Łowczego Wojewódzkiego w Olsztynie (P. Łempicki) zdawaliśmy z kolegami z roku – Stanisławem Zmysłowskim, Ryszardem Hamuleckim i Januszem Lubeckim. Do dziś – z tej ekipy – poluje tylko Ryszard

Hamulecki. Ja strzelbę sprzedałem w dniu, kiedy otrzymałem decyzję o przyznaniu emerytury! Ten zbieg okoliczności spowodował, że zostałem... bezbronnym emerytem. Łowiectwo to nie była moja pasja – raczej konieczność posiadania broni przy pracy na wsi, trochę może własne bezpieczeństwo, może też snobizm?

Do zwierzyny łownej byłem nastawiony „pokojoowo”. Moje osiągnięcia łowieckie (przez 40 lat!) to – 1 kaczor, 1 zając i 1 bażant. Z kaczołem było tak: idę sobie przez pole – wiosną, kiedy jeszcze strzelało się do kaczorów, strzelbę marki Sauer mam „złamaną”, ale naboje są w komorach. Nagle, z rowu startuje wprost na mnie kaczor – wykonuję ruch „kowbojski” – zamykam strzelbę, odbezpieczam i strzelam „z biodra”! Kaczor spada mi pod nogi... Zrobiłem to więc niejako w „obronie własnej”... Kaczor zginął przypadkowo.

Dostałem kiedyś list anonimowy, że w nocy ktoś kradnie kukurydzę (ziarnową – kolby). Zabrałem więc do pomocy kierownika zakładu no i broń. Czekamy w nocy na polu kukurydzy w aucie z wygaszonymi światłami. Po jakimś czasie (23.00) wjeżdża na to pole jakiś samochód i zatrzymuje się. My ruszamy wtedy wprost na niego – na wszystkich światłach, używając też klaksonu! Widzę przy tym aucie jakichś ludzi – zatrzymujemy się tuż przed nimi – ja krzyczę (z bronią gotową do strzału!) ręce na maskę, nie ruszać się, zaraz tu będzie policja! Wykonuję polecenie, a ja w tym momencie widzę, że to koledzy myśliwi... Przyjechali na dzika – trzech wojskowych (pułkownicy i generał) – w aucie sztucery itd. Tak, przy pomocy dubeltówki, pokonaliśmy część Armii... Może i mają rację obecni politycy z tym „pospolitym ruszeniem” czyli obroną terytorialną?

Łowiectwo jest dzisiaj potrzebne – część zwierzyny nie ma wrogów naturalnych i musi interweniować człowiek! I tak należy tłumaczyć społeczeństwu potrzebę łowiectwa, a nie np. dokarmianiem zwierząt przez myśliwych! Koledzy myśliwi też trochę sami sobie szkodzą – chętnie polując na bażanty i zające (o zgrozo!) a mniej chętnie na dziki i sarny. Z dzikami przyroda sobie poradziła (ASF) – wkrótce nastąpi to z sarnami... Jest ich ogromna ilość, odstrzwały są znikome – czeka nas więc jakieś „choróbko”... Obym się mylił!

Konie

Na trzecim roku studiów zaczęło się drugie moje hobby – konie. Zapisaliśmy się z kolegą Krakowskim do sekcji jeździeckiej RKS „Rodło” (dziś AZS Olsztyn). Oprzątailiśmy (od 6.00 rano) konie, uczyliśmy się siodłać, jeździć – nad całością czuwał trener – pan Bernard. Spotkaliśmy tam Marcina Pacyńskiego (S. K. Liski), Andrzeja Wadowskiego (syn szefa Zakładu Hodowli Koni), siostry Sokorskie i wielu innych „Koniarzy”. W czasie C.S.J.O w Olsztynie – Kortowie, pomagaliśmy w obsłudze – rozprężaliśmy konie po konkursach, pomagaliśmy kowalowi – podkuwaczowi (P. Ryszkowski). Poznaliśmy ośobiście sławnych jeźdźców.

Jan Kowalczyk – „Drobnica”! Dzisiaj (3 marca 2020 r.) właśnie się dowiedziałem, że Pan Jan zmarł... miał 78 lat... 17 razy był mistrzem Polski, a w Moskwie (1980 r.) został mistrzem olimpijskim w skokach! Marian Kozicki – „Brąz”. Wiesław Dziadczyk – „Via-Vite” – długo miał rekord Polski w potęgde skoku!

Praktykę semestralną odbyliśmy z kolegą Krakowskim w S.K. Kroplewo (Konie Mazurskie – najlepszy ogier czołowy – „Ceramik”) Konie były w Zakładzie Szafranki koło Ostródy (klacze) i w Prusowie.

Głównym Hodowcą był inż. Goździkiewicz – człowiek z przedwojenną klasą – zawsze bryczesy, oficerki – w domu, a jakże, kryształ, nalewki. Było się od kogo uczyć!

Kierownikiem Zakładu Koni był Pan Konrad Śniegocki (przed wojną rodzina miała majątek Chylin pod Płockiem). Pan kierownik nauczył nas wielu praktycznych rzeczy – również picia wódki pod... śmietanę! Pora tej degustacji też była niezwykła – 6.15 – przed dyspozycją! W stadninie zobaczyliśmy też jak można lubić swoją pracę. Pewnego świtu (wracaliśmy ze spotkania towarzyskiego) ujrzeliśmy jak masztalerz Radgowski z kolegą kradną państwową lucernę do worków! Natychmiast zameldowaliśmy to kierownikowi – ten powiedział – tajemniczo się uśmiechając – ukryjcie się i obserwujcie, co oni z tą lucerną zrobią...

Ku naszemu zdziwieniu – masztalerze zanieśli tą lucernę klaczom, które obsługiwali! Chcieli, żeby „ich” konie pięknie lśniły!

Kierownik Śniegocki zresztą też przyjmował ze zbioru mniej owsa niż faktyczne – żeby potem dawać koniom więcej niż określały dawki zatwierdzone przez Dyрекcję w Kroplewie.

Dyrektor Naczelny stadniny nie lubił koni! Jak tylko stało się to możliwe – zlikwidował konie – na rzecz owiec!

Koniuszym w Szafrankach był Pan Janek Dera – świetny fachowiec, ale kłął tak, że konie łby odwracały! Magazynierem była żona kierownika – często więc na podwórzu słychać było głos (donośny) kierownika – „magazynek” do mnie! Trzeba było coś wydać lub przyjąć. Anielskiej dobroci kobieta! Nigdy się nie denerwowała – nawet jak w nocy (mając dyżur przy żrebiących się klaczach) stawaliśmy pod oknem domu i wołaliśmy do kierownika, że „żrebak chce pić, a nie może”. Ten szyfr oznaczał, że mamy „butelkę” – kierownik zjawiał się w stajni i były chrzciny kolejnego żrebaka! Pani Śniegocka alkoholu nie uznawała – chyba, że mały kieliszek „cytrynówki” – od święta.

Byliśmy w Szafrankach pierwszymi studentami na praktyce, więc załoga darzyła nas szacunkiem. Mówiono do nas – panie inżynierze, co brzmiało raczej – panie „nizinierze”!

Na obiady – do Ostródy – jeździliśmy bryczką ze stangretem, Panem Czesławem. Zdziwienie budziły nasze nazwiska – masztalerz (Andrzej Wołkowicz) mówił np. –jak można nazywać się Krakowski? – i śmiał się przy tym bardzo! Moje nazwisko dziwiło Go mniej... Pewnego dnia wysłano nas bryczką do Dyrekcji – konie zaprzęgnięto nam sportowe. Dzień był słoneczny, jechaliśmy drogą wysadzoną starymi lipami i... przez każdy cień lipy konie skakały!

Na tej półrocznej praktyce nauczyliśmy się też niestety, co robić, żeby się nie narobić... Kierownik Śniegocki na nasze pytanie co w ogóle mamy robić powiedział: – obserwować, uczyć się, a jak pojawi się w podwórzu Dyrektor (szara „Warszawa”) to brać opone, która stoi przy garażu i toczyć ją w kierunku kuźni. Tak też robiliśmy, opona została przy kuźni, a jak znowu pojawiał się Dyrektor – toczyliśmy ją z powrotem...

Konie zostały z nami na długo – ja w PGR dochowałem się ich około 20 szt. Dziś niestety mam tylko... bryczki. Wiele lat stały w Dzierżanowie na punkcie, ogiery z Łącka – poznałem wtedy wspaniałego „Koniarza” i człowieka – dyrektora Tomaszewskiego.

Kolega Krakowski – Jacek lub Czesiek – jak kto woli – ma dziś piękną stawkę „Ślązaków” w swoim gospodarstwie pod Płockiem. Nasze konie (z PGR) po kontroli, która zarzuciła mi, że to „darmozjady” trafiły do tworzonej właśnie na nowo stadniny „Krasne” (tej od „Rulera”!). Inżynier Świdziński zabrał je do sekcji jeździeckiej. Sam zginął wkrótce w Krasnem pod kopytami koni... On, który konie kochał i rozumiał...

Działalność społeczna

W miarę studiowania nabierałem chęci na działalność społeczną. Pierwsze było oczywiście Z.S.P., Z.M.W. (Związek Młodzieży Wiejskiej), wyjazdy na Wieś w celu „szkolenia” tamtejszej młodzieży. Robiliśmy to z przekonaniem! Potem partia ludowa – Zjednoczone Stronnictwo Ludowe – to z kolei na przekór Partii „wiodącej”. Tak wtedy myślałem, potem okazało się, że niezupełnie Z.S.L. jest konkurentem P.Z.P.R... Co by nie mówić, to muszę przyznać, że Partii (Ludowej – Z.S.L.) zawdzięczam wszystko dobre, co się w moim życiu wydarzyło! Na Wydziale Rolniczym Szefową Z.S.L. była Pani dr Kazimiera Zawisłak (mądra, przyjazna studentom).

W 1972 r. wysłała Ona grupę – około 10 osób – młodych ludzi z Kortowa na kurs do Zakładu Doskonalenia Kadr Z.S.L. w Warszawie, na ul. Erasma Ciołka.

Już w pociągu zwróciłem uwagę na dziewczynę (piękną!) z młodszego roku, która nie śmiała się z moich „błyskotliwych” wypowiedzi, dowcipów itp. Lubię przewodzić w towarzystwie, a tu „ktoś” się stawia, zaprzecza... W stolicy – pierwszy wieczór – jak to na „szkoleniach” – był zapoznawczy – tzn. wino „Riesling” w znacznych ilościach!

W krótkim czasie zrobiło się wesoło, przyjemnie – tylko ta jedna dziewczyna dalej była krnąbrna... Chcąc wyjaśnić sprawę do końca zapytałem ją jak ma na imię?

– Elżbieta jestem – usłyszałem

Kłęknałem więc przed Nią – przy Wszystkich obecnych – i powiedziałem:

– Ja się z Tobą ożenię!

– Jesteś głupi! – odpowiedziała.

Ja uznałem, że oświadczyń się dokonały – słowa dotrzymałem, jesteśmy małżeństwem ponad 45 lat! Elżbieta utrzymuje co prawa, że nie klęknąłem do oświadczyń, tylko się osunąłem na kolana z nadmiaru „Rieslinga”, ale to już szczegół, który nie miał wpływu na dalsze nasze życie. Faktem jest, że zaręczyn jeszcze nie mieliśmy...

N.R.D.

W czasie studiów była też praktyka robotnicza – w moim przypadku w N.R.D. okolice Rostoku (Dierhagen). N.R.D. to Niemiecka Republika Demokratyczna, czyli lepsze, przyjazne nam Niemcy – według ówczesnej doktryny.

Pracowaliśmy tam jako traktorzyści – ja na ciągniku gąsienicowym DT-54 – wszak byliśmy z wojska – „pancerniakami”! Tu anegdota (jak ja to lubię!):

Pierwszy dzień praktyki – Kierownik, niemiecki inżynier – patrzy na listę z naszymi nazwiskami i mówi:

– No ja, Behrendt – brygadier!

– Warum? mówię i słyszę, że On uznał, iż z takim nazwiskiem znam dobrze niemiecki! – o naiwny!

Nie jestem w stanie się wytłumaczyć w tym obcym języku i zostaję brygadziłą!

Potem robimy w podwórku jakieś remonty, a tu jedzie na rowerze ten inżynier i coś mi tłumaczy – rozumiem tylko „śniadanie” (Frühstück). On odjeżdża, a ja mówię kolegom – idziemy (za Nim) na śniadanie. Poszliśmy... Człowiek dojechał do swojego domu, obejrzał się, zaczął się śmiać i mówi po niemiecku:

– Ja śniadanie, Wy pracować!

Wyszła jednak w tym czasie z domu Jego żona i oceniwszy całą sytuację podała nam w ogrodzie piwo!

Załamałem się i mówię kolegom, że nie chcę być brygadziłą, bo nie znam niemieckiego! Wszyscy jednak uznali że jestem świetnym brygadziłą – gdybyś znał niemiecki – mówią – musielibyśmy teraz pracować, a tak, pijemy piwo!

Wojsko

Wspominałem o Studenckim Wojsku (Studium Wojskowe) – dużo by można napisać, ale kto by to chciał czytać... A więc tylko cztery historyjki. W „Białych Koszarach” w Ostródzie (J.W. 1256) szkolono nas – wakacyjnie – na czołgistów (cały Wydział Rolniczy). Dziś tej jednostki już nie ma...

Dowódcami naszym byli oficerowie i podchorążowie (studenci) z Wyższej Szkoły Wojsk Pancernych w Poznaniu. Wojsko używało wtedy głównie czołgów T-34 (tzw. Kaczek) – szkolono nas oszczędnie – na poligonie obok Ostródy, ćwiczyliśmy taktykę np. „pluton czołgów atakuje wzgórze 134”. Atakujemy więc, ale pieszo, bo czołgi trzeba oszczędzać (ponadto czołg pali 100 l/100 km). Było gorąco więc nasza „Załoga” uznała, że poleżymy sobie trochę w cieniu... W pewnej chwili podbiega do nas Porucznik Biernat i krzyczy:

– Dłaczego czołg nr.1 przerwał atak?

– Gąsienica się zerwała, obywatelu Poruczniku – meldujemy.

Jak udawać czołg, to do końca – uznaliśmy. Gdyby porucznik miał wtedy broń, myślę, że by nas zastrzelił – tak Go zdenerwowaliśmy!

Poligon Orzysz – nocny marsz na azymut...

Ciemno, zimno, las – nie wiemy gdzie mamy iść – kompas i mapa niewiele nam mówią... Ale jesteśmy przecież studentami, trochę myśleć potrafimy.

Nasza czwórka (załoga czołgu nr 1) idzie więc do najbliższej wioski – tam stukamy w okno chałupy – mamy „kałasznikowy”, bez amunicji, ale obudzony rolnik o tym nie wie. Mówimy, że jest wojna i musi nas zawieźć do miejscowości wymienionej w rozkazie!

Rolnik szybko zaprzęga konie do wozu i po godzinie, jako pierwsi zdobywamy „azymut”. Człowiekowi zapłaciliśmy, bo szybko się zorientował, że „wojna” jest... studencka!

Strzelanie z czołgów (S.G.M.T. – czołgowy karabin maszynowy) na poligonie w Orzyszu – szczególnie, bo na „trybunie” dygnitarze z Generałem Tuczapskim (dowódca okręgu wojskowego).

Chodzi o pokazanie jak świetnie wyszkoleni są studenci. Polecono więc „tarczowym” aby po każdym strzale meldowali trafienie w „10”! I tak szło do momentu, aż jedna z załóg zapomniiała po strzelaniu dać

lufę czołgu „na odbój” i z linii strzału ruszyli w kierunku trybuny z lufą do przodu! Wszyscy „oficerowie” wykonali „padnij” – nigdy bowiem nie wiadomo co studentem przyjdzie do głowy..

Pewnej soboty, jeszcze przed przysięgą nudziliśmy się w koszarach, a tam za płotem Ostróda – kino, piwo, itp. Żołnierze ze służby czynnej nieraz wymykali się z koszar przez płot, my jednak uznaliśmy że to nie honor! Sformowaliśmy kompanię i w zwartym szyku (czwórkami) ruszyliśmy przed bramę! Tu – kolega „dowódca” – pięknie zameldował wyjście kompanii do kina!

Podoficer dyżurny podniósł szlaban i... zyskaliśmy wolność! Potem żandarmeria nas wyłapała (w mieście zauważył nas któryś z Oficerów!) i uznano – wszyscy do aresztu! Ten jednak okazał się za mały i sprawę wyciszono.

Efekty szkolenia nas na czołgistów były marne, ale mimo to „Imperialiści Zachodni” chyba się nas bali bo... nie zaatakowali!

Agros

W Kortowie zaliczyłem też epizod „gastronomiczny”. Z kolegami Krakowskim i Tylem założyliśmy klub „Agros”. Otrzymaliśmy od rektora zgodę na sprzedaż wina – na kieliszki! Ponadto kawa, herbata, ciastka i... jajka gotowane na twardo!

Gotowane 3 minuty – 3 złote.

Gotowane 5 minut – 5 złotych.

Itd.

Student z fantazją, po stypendium często zamawiał:

– Gotować 20 minut!

Krakowski prowadził dyskotekę, Stanisław Tyl był barmanem, a ja kelnerem. Trzymaliśmy poziom – muszki, białe koszule – tak, tak! W przypadku reklamacji np.: – za zimna kawa! – „badałem” ją palcem, a potem wzywałem barmana mówiąc, że klient marudzi. Przychodził Stanisław w rękawicach bokserskich (wisały zawsze przy barze, obok książki zażaleń) i pytał – który to?

Miało się fantazję – jak też i przygody.

Po jednej z sobotnich „imprez”, przy dużym utargu, postanowiliśmy napić się wódki. Stasiu Tyl wziął do reklamówki utarg i udał się (była noc!) do „Żagli” (to restauracja w Olsztynie) po alkohol i zakąskę. Dla „ułatwienia” wyszedł przez okno (parter), a tam zamiast do taksówki wsiadł do... radiowozu!

Nie dał rady wytłumaczyć milicjantom, że normalnie udaje się na zakupy – z reklamówką pieniędzy! Był zresztą „po spożyciu”. Wrócił z „Izby” późnym popołudniem, a my z Krakowskim sądziliśmy, że zdefraudował nasz cały utarg...Prowadziliśmy klub 2 lata – potem „Agros” istniał jeszcze kilkadziesiąt lat!

Ze Stasiem Tylem mieszkalem w pokoju w „ósemce” – on waletował (czyli mieszkiał bez przydziału). Był świetnym pokerzystą, nie chodził na wykłady – studia ukończył dzięki dużej inteligencji. Całe noce poświęcał pokerowi – z różnym skutkiem. Po przegranej, bez pieniędzy pytany przeze mnie – jak teraz przeżyjesz – odpowiadał:

– Z dnia na dzień!

Mówił też, że jest druga metoda na przeżycie – „przy kimś”. Kiedyś wrócił około 6.00 rano z pokera (wygrał wtedy dużo – był więc w dobrym nastroju), obudził mnie i mówi:

– Mamy dzisiaj egzamin z biochemii, powiedz mi gdzie się to zdaje i co to w ogóle jest?

Na żadnym wykładzie nie był! Próbowałem mu wyjaśnić, że nie jestem w stanie przygotować go do tego egzaminu przez kilka godzin!

Stasiu był „charakterny” i nie ustąpił – poszliśmy więc do pokoju cichej nauki... Pytam – co chcesz wiedzieć?

On mówi – o co ogólnie chodzi w tej biochemii?

Wymyśliłem, że najważniejszy jest „cykl Krebsa” (wiązania węgla, przepływy energii itd.). Stanisław przy mojej pomocy nauczył się tego. Poszliśmy na ten egzamin całą grupą – Stasiu też.

Zdawaliśmy dość średnio – On czekał na koniec, chłonąc wieści z „giełdy”. Gdy wszedłem ja z kolegą a Docent Rejowski zapytał czemu tak słabo nasza grupa zdaje (same „trójki”), któryś z nas powiedział, że jest jeden kolega, który pasjonuje się biochemią!

– Jak się nazywa? – zapytał Docent.

– Stanisław Tyl – powiedzieliśmy, myśląc, że robimy niezły dowcip.

Stanisław wszedł ostatni, sam. Długo go nie było. Wszyscy czekamy w końcu korytarza – napięcie rośnie! Wreszcie Student Tyl wychodzi zmęczony, spocony – my pytamy – no i jak?

On pokazuje indeks – a tam „5”! Szczęki nam opadły – dowcip się nie udał – a właściwie udał się na „piątkę”!

Było tak – Stanisław wszedł, podał indeks – Docent powiedział:

– A to Pan Tyl? W tej sytuacji nie będzie Pan losował pytań, ale proszę powiedzieć co Pana najbardziej intryguje w biochemii jako nauczyciela?

Student zrobił mądrą (a może przerażoną) minę i rzucił:

– Cykl Krebsa!

No i poszło... Dyskutowali około 40 minut! Była to chyba jedyna „piątka” jaką Stasiu dostał na studiach!

Turniej DS

W gronie kolegów wymyślił się turniej DS-ów (Domów Studenckich) na szeroką skalę. Szefem komitetu organizacyjnego został kolega Krakowski – świetny organizator! Turniej zrobiony został z dużym rozmachem – był – po raz pierwszy w historii Kortowa – transmitowany przez telewizję! Myślę, że również po raz pierwszy zaangażowani zostali reklamodawcy (pomysł Krakowskiego). Pojawiły się pytania:

– Jak zdobyć pieniądze?

– Jak zrobić bankiet po turnieju?

Kolega wymyślił, że np. wino na bankiet „weźmiemy” z wytwórni Win i Miodów w Nidzicy!

Pojechaliśmy tam „żukiem” Strażackim z kierowcą i kolega Krakowski wygłosił taką mowę o biednych studentach, którzy chcą coś zrobić, a nie mają środków, że Dyrektor Zakładu dał nam całego „żuka” win i miodów – za reklamę w czasie turnieju! Baner wytwórni win wisiał rzeczywiście w Auli. „Żuka” na kilka dni użyczyła nam Straż w Olsztynie – też dzięki „kwiecieści” mowie Kolegi Krakowskiego.

Po powrocie z Nidzicy oczywiście degustowaliśmy w akademiku wina i miody. Nad ranem ktoś wpadł na pomysł, żeby na naszym piętrze podmienić puste butelki na mleko (wystawiane przed drzwiami) na pełne z winem.

Tak też zrobiliśmy i zasnęliśmy.

Wkrótce obudziły nas radosne okrzyki niewtajemniczonych kolegów – ludzie wstawać! – mleczarz się pomylił i mamy wino zamiast mleka! A turniej udał się doskonale – przez wiele lat później był kontynuowany!

Asystentura

Tak to radośnie się studiowało – aż do czwartego roku. Byliśmy już wtedy grupą „uprawową” (specjalizacja).

Pewnego dnia Pani doktor Kazimiera Zawisłak powiedziała, że Pan Profesor (Witold Niewiadomski*) prosi do gabinetu kolegów Szwejkowskiego i Behrendta. Weszliśmy, Profesor prosi siadać, a więc sprawa jest poważna! Słyszymy – bez zbędnych wstępów – proponuję Panom asystentury od zaraz, jednocześnie będziecie kończyć studia...

Szok, niedowierzanie – tego jeszcze w Kortowie nie było!

– Dlaczego My? – pytamy.

Profesor mówi coś o młodych, zdolnych! Zgadza się więc ochoczo, ale okazuje się, że nasze kandydatury musi jeszcze zatwierdzić Komitet Uczelniany PZPR...

Za kilka dni dr Zawisłak (prawa ręka profesora) mówi: – Zbyszka Szwejkowskiego zatwierdzili, a Pana nie... Cóż domyśliłem się za co. Moje publiczne wypowiedzi, krytyczne wobec polityki partii, również ciążące portretu Lenina na sznurku po Starym Mieście w Olsztynie i tym podobne „ekscesy” nie uszły uwadze odpowiednich organów...

Były to po prostu studenckie wygłupy, dziś mógłbym, co prawda powiedzieć, że walczyłem z komuną, ale byłoby to przekłamanie. Wracając do tematu – posłaliśmy z Panią dr Zawisłak do Profesora

– Ona referuje sprawę, a Profesor mówi:

– To mnie nie interesuje, powiedziałem, że pan Behrendt będzie asystentem, to będzie!

A do Pani doktor – proszę przygotować umowę „Asystent techniczny” – to nie wymaga zgody Partii! To był Profesor z klasą! Imponował nam bardzo!

Byłem też świadkiem następującej sytuacji.

W czasach P.R.L., aby kupić nowy samochód, trzeba było mieć talon (przydział) – o co było niezmiernie trudno. Doktor Nowicki (adiunkt

w Katedrze Uprawy), przez swoje koneksje „załatwił” Profesorowi talon na Fiata 125. Posłaliśmy razem powiedzieć to Profesorowi i poprosić, żeby się pofatygował do Wojewody po odbiór talonu. Na to Profesor – jeżeli Wojewoda chce mi coś dać – to wie gdzie mnie znaleźć... Cóż było robić – Wojewoda, poinformowany o sytuacji pofatygował się do Kortowa, a Profesor dalej żył w swoim idealnym świecie...

Asystenturę (byłem w parze z dr. Nowickim) mogłem prowadzić po swojemu. Studentom na początku powiedziałem, że mówimy sobie „na Ty”, ale nie skorzystali z tego! I słusznie! Wyjaśniłem też, że nie muszą przychodzić na ćwiczenia – jeżeli te uznają za nudne. Obecność i tak Wszystkim wstawiałem.

Przychodzili jednak wszyscy, bo mówiliśmy na zajęciach mniej o uprawie, a więcej o „życiu”. Uznałem, że o niuansach uprawy mogą sobie poczytać w skrypcie, a dyskusja jest przecież „najlepszą formą rozwiązywania problemów dla inteligentnych”.

Na kolokwium pytałem też nieszablonowo. W sesji letniej „złośliwie” zapytałem studentkę – jak teraz (czerwiec) wygląda żyto? (a zaliczało się okopowe!)

Na pytanie – skąd nazwa okopowe? – inne dziewczę odparło:

– W czasie okupacji jedzono dużo ziemniaków... (okopowe – okupacja).

Zawodnika I Ligi siatkówki (AZS – Olsztyn) Kolegę Bielmacza, który też miał zaliczać „okopowe” zapytałem o... wyniki 4 ostatnich spotkań ligowych AZS – Resovia. Wiedział, dostał „czwórkę” ale był zdumiony pytaniem!

Ciekawostka – wśród „moich” Studentów był obecny Rektor

– Profesor Górecki!

Norwegia

W 1973 r. w celu dalszej edukacji zostałem skierowany na staż do Królewskiej Akademii Rolniczej w As, w Norwegii.

Katedrą uprawy kierował tam znajomy Profesor Niewiadomskiego. Tu dygresja – Profesor lubił mnie, ja zawiodłem Go pewnie uciekając po 2 latach do produkcji. Mimo to, po latach, gdy Profesor odbierał Dyplom „Honoris Causa” na SGGW w Warszawie, a ja się tam pojawiłem z gratulacjami – życzył mi sukcesów gospodarczych (były to czasy transformacji), oraz dodał, że miejsce na uczelni zawsze na mnie czeka... Tego się nie spodziewałem.

Żeby wyjechać na Staż Zagraniczny należało zdać egzaminy z języków obcych. Zdałem więc angielski i niemiecki – na „5” oczywiście. Potem się okazało, że co innego zdać egzamin w Kortowie, a co innego mówić w obcym języku!

Był już piąty rok studiów – koledzy bronili prace dyplomowe, ja uczestniczyłem tylko „gastronomicznie”. Jako wyruszający na Zachód nie mogłem swojej pracy bronić – obawiano się bowiem, że nie wrócę z tego „lepszego” Świata. Takie były przepisy. Zaopatrzone w dokumenty i 5 USD (tak, tyle można było oficjalnie wymienić – ja miałem – nielegalnie – trochę więcej) wyruszyłem za Morze.

Rodzina rozpacziała – tyle wody – można się utopić – nikt nigdy tak daleko nie podróżował. Zostawiłem też w Polsce koleżankę Elżbietę.

Pierwsze zagraniczne zaskoczenie już na promie „Wawel”. Idę na kolację, a tu Steward chce jakieś „bony” – nie mam nic takiego, a więc nie będę jadł... Szczęśliwie przechodził obok Kapitan – też na kolację, zapytał – w czym problem? – był jeszcze jeden student z Krakowa, w podobnej sytuacji. Pan Kapitan się zlitował i zaprosił nas do swojego stolika! Głodni więc nie byliśmy, a i splendor wielki!

Rano zacamowaliśmy w Ystad, pociąg do Oslo był dopiero za 5 godzin, wpadłem na pomysł, aby pospacerować po mieście. Co jednak zrobić z walizkami? Zauważył mój problem miejscowy kolejarz i (po angielsku!) wyjaśnił mi (trochę to trwało) żeby je po prostu postawić na peronie, obok jego biura. Z drżeniem serca tak zrobiłem. Poszedłem na spacer, wróciłem po 30 minutach – walizek nie było... Stałem zdruzgotany (w walizkach były konserwy, cukier, ubrania), ale po chwili pojawił się znajomy kolejarz i wyjaśnił mi, że zaczęło padać więc On walizki wstawił do swojego kantorka.

Wtedy – 1973 rok – faktycznie w Skandynawii nie znano kradzieży. Przy okazji okazało się, że „mój angielski” jest bardziej mój niż angielski... Dotarłem do Oslo, potem przesiadka do As, tam odebrał mnie jeden z Asystentów Katedry Uprawy. Pojechaliśmy (Ford – Consul) do baru, na śniadanie (jajka, bułka, kawa) – chciałem zapłacić, ale On z uśmiechem pokazał mi rachunek i powiedział, że skoro nam

pozwalają wywieźć z Kraju 5 USD – a śniadanie kosztowało więcej, to on zapłaci!

Na bieżące wydatki pożyczyl mi pieniądze – wypłaty były co tydzień. Norwegia była wtedy Krajem o najwyższej stopie życiowej w Europie! Pracowałem w dziale doświadczalnym – na poletkach i w laboratorium. Zaprowadzono mnie też wkrótce do Katedry, gdzie Profesor Strand i asystenci wyrazili zdumienie widząc moje włosy do ramion! Byli bowiem przekonani, że w krajach socjalistycznych wszyscy musimy mieć włosy, jednakowo, krótko obcięte. Zadawali mi dużo pytań, byłem pierwszym stażystą z Polski, o której wiedzieli tylko, że „Tomaszewski is the best kiper of the world”!

Zorientowałem się, że płacą doskonale, starałem się żyć oszczędnie (walizki!), co pozwoliło mi, po kilku miesiącach, zgromadzić „dewizy” równe cenie Fiata 125, w „Pewexie”! (Starsi wiedzą co to Pewex).

Dokuczała mi samotność. Żeby usłyszeć język ojczysty, telefonowałem do naszej Ambasady. Tam, miła Pani sekretarka, zdziwiona, że nie mam żadnej sprawy, zawsze parę minut ze mną rozmawiała. Telefon służbowy, w obrębie Norwegii był bezpłatny. Pisałem listy i kartki do Polski – do Elżbiety. Dużo było takich listów... Odpowiedzi nie nadchodziły. Pewnie dlatego – myślałem, że przed wyjazdem prowadziłem nieco „hulaszczy” tryb życia... Pewnego pięknego dnia jednak list od Niej dotarł!

Po latach okazało się, że to za przyczyną Jej cioci Kazimiery, która uznała, że jestem dobrym człowiekiem i zmusiła Elżbietę do napisania. A w liście piękne zdanie!

– „Bardzo mi Ciebie brakuje” – uznałem to za wyznanie miłości! Chodziło jednak tylko o brak kogoś, kto dźwigał by Jej walizki przy wyjeździe z Kortowa... Mnie to jednak wystarczyło do podjęcia decyzji o... Ślubie! Elżbieta się „w tym temacie” nigdy nie wypowiadała, nie mówiła tak lub nie... Ślub nasz odbył się niejako – samoistnie.

Do dziś zresztą żyję w niepewności uczuciowej, bo na pytanie – czy Ty mnie kochasz? – zawsze słyszę – jeszcze nie wiem (albo

– głupi jesteś!). Jak wiadomo, nie zdążyliśmy też się zaręczyć – tak więc wszystko jeszcze przed nami! Tymczasem staż w Norwegii się skończył, wróciłem (z dewizami!) do Kraju, na Uczelnię. Obroniłem też swoją pracę magisterską – „Monokultury pszenic”.

Egzamin magisterski miał nieco „burzliwy” przebieg. Profesor zadawał pytania – ja odpowiadałem w Jego stylu. Przykład – pytanie:

– Czynniki limitujące wzrost produkcji rolniczej?

Moja odpowiedź – więcej kultury na hektar!

Profesor – brawo!

A Pani Dziekan (przewodnicząca Komisji) – to nie jest odpowiedź!

Na co pan Profesor – Pani Dziekan, musi się Pani jeszcze dużo nauczyć, żeby zrozumieć o czym My tu rozmawiamy! Przerwa w egzaminie – mam na chwilę wyjść... Wracam i dostaję jeszcze jedno, „normalne” pytanie (Od Profesora) – Aktualny repertuar w Teatrze im. Jaracza (w Olsztynie) – wiedziałem! Koniec egzaminu – ocena – bardzo dobra! Tak zostałem magistrem Ogólnej Uprawy Roli i Roślin!

Część przywiezionych „dewiz” wydałem na... przyjemności, nie udało się więc kupić nowego Fiata w „Pewexie”...

Kolega, Piotr Benedykciński z Krośniewic podpowiedział mi, że dyrektor tamtejszego P.G.R. (pan Romuald Majewski) chce sprzedać dobre, 3-letnie auto. Pojechaliśmy, auta już nie było – zaliczyło wypadek...

Wyjazd był jednak owocny – Fiata 125 kupiłem od inż. Stanisława Cegłowskiego, właściciela warsztatu samochodowego w Krośniewicach – samochód był jeszcze włoski! Potem te auta produkowano już w F.S.O. w Warszawie. Przy okazji, dyrektor Majewski namówił mnie do podjęcia pracy w miejscowym PGR.

Na uczelni było mi „za ciasno”. Brak mieszkania, słabe płace, odległa wizja Doktoratu no i rozumiałem, że praca naukowa nie jest dla mnie. Poza dydaktyką prowadziliśmy badania (w Zespole dr. Nowickiego) na temat uprawy bezorkowej – już wtedy! Testowaliśmy włoską maszynę „Supercantone Cultivatore 70”, na polach Zakładów Doświadczalnych Uczelni – w Bałcynach i Łęczanach.

Profesor był zwolennikiem uprawy orkowej. Ponadto zajmował się uprawą tarasową. Pod jego redakcją powstawała też duża praca „Agrotechnika Warmii i Mazur”. Jego wizja rolnictwa Warmii i Mazur, to użytki trwałe i produkcja wołowiny, mleka, masła. Nie orać tych wzgórz, bo zniszczy je erozja! (a i trudno uprawiać). Wiosną – 1974 roku – po rozmowie z Profesorem (wykazał zrozumienie dla moich argumentów) pożegnałem Uczelnię... Bardzo ubolewała Pani dr. Kazimiera Zawiaślak... Osoba bardzo mi bliska – to Ona przecież

spowodowała, że na kurs Z.S.L. do Warszawy pojechałem ja i nieznana mi wtedy – Elżbieta.

Decyzja moja o zmianie pracy była jednak trafna! Nie żałuję!

Blonie

P.G.R. Blonie koło Krośniewic to był wtedy bardzo nowoczesny Zakład, świetne wyniki, doskonała kadra (również po Kortowie) i dobrzy, pracowici ludzie w produkcji. Firma gospodarowała na około 2 tys. hektarów, były krowy, świny, indyki, warzywa i... chmiel! Zostałem starszym specjalistą do spraw produkcji.

Z powodu trudności lokalowych, biuro dzieliłem z dyrektorem Majewskim i zastępcą – Andrzejem Rybczyńskim. Mogłem więc chłonąć wiedzę – jak się zarządza dużym Gospodarstwem – tego żadna szkoła nie nauczy!

Moi rodzice byli jednak zawiedzeni zmianą pracy – kiedy byłem na Uczelni mogli mówić sąsiadom, że Ich „najstarszy” jest... profesorem! Gdy pracowałem w Błoniu, mówili tylko, że jestem „inżynierem”. Potem, już w Dzierżanowie, mówiono, że jestem Dyrektorem – niekoniecznie dodając, że P.G.R.-u... Cóż, opinie o P.G.R.-ach były różne!

W czasie pracy w Błoniu zrobiłem (eksternistycznie) prawo jazdy – do tej pory woził mnie – moim Fiatem – Piotr Benedykciński. Ja, za to uczyłem Go degustować trunki...

Na studiach robiliśmy obowiązkowo prawo jazdy na traktor. Można było też, za niewielką dopłatą zrobić na samochód, ale nikt z nas nie myślał, że można mieć samochód – prywatny!

Jesienią – 1974 roku – do Błonia przyszła też na staż Elżbieta (tak się jakoś złożyło). Według księgowej Pani Urszuli Benedykcińskiej (wspaniała kobieta!) – zaprzyjaźnionej z całą „Błońską” Młodzieżą, Elżbieta uratowała nas (zwłaszcza mnie) swoim przyjściem przed degeneracją i upadkiem moralnym... Trochę tych kolacji i degustacji kawalerskich faktycznie było. Nigdy jednak nie przeszkadzało nam to w pracy!

Małżeństwo

W czerwcu – 1975 roku – jakoś tak wyszło, że się pobraliśmy! Wesele – tradycyjne – domowe (w Przytułach) oczywiście z poprawinami, było piękne. Grała kapela Waśniewskich z Przasnysza – ta sama, która wcześniej grała na Weselu moich Teściów...

Do ślubu pojechałem sam, za kierownicą swojego Fiata – ożeniłem się więc dobrowolnie. Teść trochę sarkał, że nie ma limuzyny z szoferem. W kościele w Krasnosielcu, Wujek mój – Mieczysław Behrendt – (tenor) pięknie zaśpiewał nam Ave Maria... Stąd (na zdjęciach) zapłakana twarz Panny Młodej, a może ze szczęścia?

Do dziś Goście wspominają też dobrą wódkę – śliwowicę – zrobioną w Przytułach według receptury Zygmunta B. Śliwki pozostałe po namoczeniu wynieśliśmy nieopatrznie na wybieg dla świń. Rano – alarm – Teściowa woła – Jurek! (teść) dzwoń po weterynarza, świny chore, leżą wszystkie... Teść, ze spokojem odpowiada – nic im nie będzie, są tylko pijane, wytrzeźwieją, to wstaną! Powiedzenie „pijany jak świnia” ma od tej pory dla mnie również i inny (dosłowny) wymiar.

Awans – „dożywotni”

Rok 1975, to rok dla nas wyjątkowy – zostaliśmy małżeństwem, a już za kilka miesięcy usłyszałem od Pani sekretarki w Błoniu, że był telefon ze Zjednoczenia P.G.R. w Łodzi – mam się stawić u Dyrektora Naczelnego – Edmunda Niewiary...

Pytam Dyrektora Majewskiego – co się dzieje?

On mówi, z tajemniczym uśmiechem, że nic nie wie...

Pojechałem do Łodzi. Dyrektor Edmund Niewiara (a prawidłowo Józef) zaprasza do stołu, kawa i... propozycja dla mnie – dyrektor PGR Osiek – od zaraz!

Pytam – dlaczego ja?

– Jesteś młody, zdolny, ożeniony (!) i... należysz do ZSL – mówi Dyrektor.

Tak zwany „klucz partyjny” – przewidywał jednego dyrektora w Zjednoczeniu z poza Partii wiodącej... Nie pytając o nic, zgodziłem się.

W Błoniu dyskusja rodzinna – tutaj piękna praca, koledzy, nowe mieszkanie (w nim regał „kujawy”, z kredytu dla młodych małżeństw!) a tam nieznane... Podjąłem arbitralną decyzję – biorę ten Osiek!

20 października 1975 roku „Wołgą” (samochód osobowy produkcji Z.S.R.R.) z dyrektorem Niewiarą i Naczelnikiem Kadr Tarnowskim pojechaliśmy do Osieka. Po drodze Płock – Komitet Wojewódzki P.Z.P.R. gdzie trzeba było uzyskać akceptację. Powiedziałem, w czasie podróży dyrektorowi Zjednoczenia, że będzie trudno, bowiem w Błoniu parę razy ostro, publicznie krytykowałem Partię. W Płocku, w Komitecie przyjął Nas sekretarz rolny Józef Biedrzycki. Już po mnie – myślę!

On spojrzał na mnie i mówi – o Behrendt! – to teraz, Bracie, pokażesz jak się prawidłowo gospodaruje! To Jego właśnie w Błoniu krytykowałem... Okazał się mądrym człowiekiem – nieraz mnie potem bronił, gdy podejmowałem „nieszablone” decyzje... Dogadaliśmy się też, że studia skończył w Olsztynie, na roku z dr Zawisłak – wspomnianą wcześniej.

Na miejsce, do Osieka dotarliśmy już po zmroku – mogę więc powiedzieć, że Gospodarstwo brałem „w ciemno”. Odchodzący (do Krasnego) dyrektor Zygmunt Huba opowiedział trochę o firmie, potem była kolacja, u Niego w domu.

Osiek to wtedy 2.200 ha, 360 pracowników, 11 Zakładów (obiektów), 2 gorzelnie itd. Ponadto 6 tysięcy trzody, 2 tysiące sztuk bydła (w tym 600 krów dojnych) i... pszczoły. Jak na 25-letniego „dyrektora” (bez doświadczenia!), to sporo. Wtedy tak nie myślałem – byłem optymistą (z natury nim jestem!).

Za 2 dni, już sam, wróciłem do Osieka, zapoznać się bliżej z firmą – formalnie miałem objąć stanowisko od 1 listopada. Zobaczyłem wtedy skalę „problemu” – co mnie jednak nie zniechęciło. Był deficyt finansowy (duży!), nie było mieszkań (wtedy P.G.R. musiał zapewnić mieszkania wszystkim pracownikom), Kadra „inna” niż w Błoniu... Zaczęła się więc w listopadzie 1975 roku praca, która trwa do dziś!

Tak mógłbym skwitować ten rozdział życia. Postaram się jednak o trochę szczegółów.

Zamieszkaliśmy z Elżbietą w... części korytarza na piętrze dworu w Osieku, oddzielonej dyktą – łazienka na dole. Poprzedni dyrektor jeszcze nie zwolnił mieszkania – trwało to do wiosny... Elżbieta została głównym zootechnikiem – taka była potrzeba. W Błoniu była specjalistką od chmielu (stąd moje zamiłowanie do piwa!).

W tamtych czasach uczono nas, że głównym zadaniem dyrektora jest zapewnienie warunków socjalnych załogi. Zrobiłem więc przegląd mieszkań we wszystkich zakładach – katastrofa! Przykład – w Gródkowie, w mieszkaniu Kowala Grzedy pytam Jego żonę – jak się mieszka? – dobrze, mówi, tylko jak ostatnio napięłam pączków i zostawiłam na stole, to w nocy szczury wszystko pościagały... Był to barak z podłogą z gliny – 1975 rok, 70 km od Warszawy!

W Dzierżanowie jedyny budynek z wodą i centralnym ogrzewaniem, to mieszkania dyrektora. Obiecałem ludziom, że wszyscy otrzymają nowe mieszkania z łazienkami! Zajęło mi to około 10 lat, ale się udało. Zaraz pierwszej zimy utworzyłem Zakład Budowlany – około 30 osób. Budowaliśmy sami i przy pomocy Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego w Chojnicach. Niewiele zajmowałem się polami (robili to kierownicy) główne moje zajęcia to „załatwianie” cegieł, cementu, stali, wapna itp. W tamtych czasach wszystko było „na przydział”. Było trudno, ale mieliśmy przecież w P.G.R. mięso, ryby, miód, gorzelnie – nie, nie, łapówek nigdy nie dawałem!

Finansowanie inwestycji odbywało się wtedy przez Zjednoczenie. Rekord inwestycyjny padł w Pilichowie – przyciśnięty „do muru” (zebranie Załogi – wtorek) pytaniem – kiedy wreszcie u nas zacznie Pan budować mieszkania? – jutro, odpowiedziałem... I w środę rano pojechała tam koparka robić wykopy pod blok! Formalności załatwiałem w trakcie... Niejeden kierownik budowy ze mną nie wytrzymał... Pobudowaliśmy też mieszalnię pasz, warsztaty, garaże, wiaty itd. Byłem taki mały – „Kazimierz Wielki”. W międzyczasie ukończyłem 2-letnie, podyplomowe studia ekonomiczne u Profesora Jerzaka* w Poznaniu (Akademia Rolnicza). Poznałem tam sławy rolnictwa wielkoobszarowego – dyrektorów: Apolinarskiego, Bayera, Jerzyniaka, Paula (mówię o Seniorach!) Potem zdarzyło mi się współpracować z „Juniorami” – np. Ludwik Apolinarski – twórca i wieloletni szef John Deere – Polska.

Od tamtych czasów wiem, że przyszłość rolnictwa to duże, nowoczesne gospodarstwa towarowe (nic tu polityka nie zmieni). W czasach Polski Ludowej w zarządzaniu przedsiębiorstwem „pomagali” dyrektorowi przedstawiciele Załogi – rada Pracownicza i Związki Zawodowe. U nas byli to rozsądni ludzie, dlatego, widząc co i jak robię nigdy nie próbowali mnie wywieźć „na taczkach”. „Solidarności” też nie założyli – nie było takiej potrzeby.

Dobrze wspominam współpracę z Panem Janem Wiśniewskim (Związki zawodowe) oraz Kazimierzem Modzelewskim – P.O.P, Straż Pożarna i Rada Pracownicza. Z deficytu udało się po kilku latach wybrnąć, zaczęliśmy wypłacać „trzynastki”. Tu anegdota. Po około 3 latach „dyrektorowania” na naradzie w Zjednoczeniu (Łódź ul. Północna 27), Dyrektor Niewiara zapytał mnie publicznie – dokąd Behrendt będzie u Ciebie w Osieku ten deficyt?!

– To jest ostatni rok – odpowiedziałem z całym przekonaniem. Pewności absolutnej jednak nie miałem, więc na wszelki wypadek zmieniłem nazwę firmy i przeniósłem Dyрекcję do Dzierżanowa. Jeżeli będzie deficyt – to już nie w Osieku!

Tak wyjaśniłem Dyrektorowi Niewiarze te zmiany – śmiał się serdecznie! Powód właściwy był geograficzny – logistyczny – Dzierżanowo jest w centrum firmy, jest tu szkoła, PKS, lepsza droga itd.

Córka

W 1977 roku urodziła nam się córka – Joanna Maria. Kiedyś nie można było nawet wejść na porodówkę, więc gdy przez telefon dowiedziałem się od dr. Kaweckiej, że jest już córka – zapytałem ile waży, ile mierzy i... jak ma na imię? Pani Doktor wyjaśniła mi, że dzieci nie rodzą się z kartką z imieniem!

Coś podobnego!

Radość wielka – obowiązków ogrom!

Podobał mi się, przy pomocy Cioci Kazimiery, a potem już Pani Świątkowskiej – do dziś córka mówi na Nią – Ciocia. To wspinała kobieta – dobra, uczciwa, cierpliwa. Już jako kilkulatka, Córka uciekała nam z domu – do Cioci, mówiąc, że u nas jest brzydko, a u Cioci są kury, koty, psy itd. Po wielu latach zresztą uciekła nam na dobre do Belgii, choć My uważamy, że u nas jest ładnie, a tam...

Wydawało nam się, że córka (wtedy 6 lat) chodzi ciągle do przedszkola, ale kiedyś – jesienią, przyszedł dyrektor Szkoły w Dzierżanowie (Pan Eugeniusz Denst) i mówi, że Córka musi mieć jakieś badania, jeżeli chce chodzić już do szkoły. Pytam Go – po co, przecież jest jeszcze w przedszkolu! – otóż nie, mówi Pan Denst, od kilku tygodni Ona jest w szkole. Sama przyszła – mówi – to ją przyjeżdżamy...

Przepytyaliśmy Joannę (Anię) – potwierdziła, że chodzi do szkoły (inny budynek) bo w przedszkolu jest... nudno. Coś podobnego!

Takimi byliśmy Rodzicami... Praca to było (i jest) nasze życie! Potem próbowaliśmy się lepiej zająć edukacją córki. Stąd pomyśl Liceum w Warszawie, u Sióstr Nazaretanek na Czerniakowskiej. Cztery lata tej szkoły dały Jej dobre wychowanie (tak myślę), pasję do języków obcych (była tam łacina!) i do podróży, niestety. Potem Uniwersytet Warszawski – Anglistyka, „Erasmus” w Antwerpii i... poszło! We Flandrii (przemysłowa, bogatsza część Belgii) poznała Piotrkę (Peter Van Brockland) i wyfrunęła w świat! Próbowałaśmy ją zatrzymać – mieszkaniem w Warszawie, samochodem... Mieszkanie zamknęła, wsiadła w samochód i pojechała do Belgii. Tam ślub cywilny i wesele – kwiecień 2004 rok. Potem ślub Kościelny w Warszawie, na Nowym Mieście i wesele w Walewicach – 26 czerwiec 2004 r.

Dużo przygotowań, trochę nerwów – ja zawsze chcę wszystko zrobić perfekcyjnie... Teraz to już 16 lat polsko-belgijskiego życia! Wakacje, uroczystości, listy... Rośnie następne pokolenie – wnuki. Maksio – 9 lat i Alex – 5 lat. Chłopcy mówią po polsku, ale o Nich za chwilę.

Praca

Elżbieta, w pewnym momencie została w Dzierżanowie Agronomem, gdyż zlikwidowaliśmy inwentarz (z przyczyn ekonomicznych). Od tej pory poprawiły nam się plony. Żona moja jest bardzo zawziętym rolnikiem – drepcze po polach (rower też oczywiście jest w codziennym użytku). Rozumie rośliny i ziemię. Tak było zawsze – w swojej

rodzinnej wsi (Przytuły), jako najstarsza z rodzeństwa, razem z Ojcem szła w pole. Prowadzenie domu Elżbieta traktuje jako konieczność, ale jak coś robi to doskonale! Jej wiedza rolnicza przejawia się nieraz zaskakująco.

Jestem kiedyś – wiosną – w biurze, okno mam otwarte, widzę że podjechał traktor C-330. Jeden rolnik na błotniku, drugi za kierownicą – ten z błotnika przyszedł do mnie (drugi pilnował ciągnika „na chodzie”). Interesantnie pyta – panie dyrektorze – co zrobić, bo pszenica (tu pokazuje próbkę) mi żółknie...? Myślę sobie, a skąd ja mam to wiedzieć, ale resztkami inteligencji rzucam – nie mam czasu, ale niech Pan wejdzie do biura naprzeciw – tam jest moja żona – może coś doradzi.

Człowiek, z niepewną miną idzie i otrzymuje od Elżbiety pełną informację – jaka jest przyczyna żółknięcia i co należy zrobić. Wraca do traktora i mówi głośno (traktor pracuje) do tego drugiego. Ty, jaki On musi być mądry (to o mnie!) – nawet Jego kobieta wie co jest tej pszenicy!

Od dłuższego czasu już wiedziałem, że kobiety są mądre, ale żeby ta ich mądrość aż na nas mężczyzn przechodziła? Lubię anegdotki, a więc druga. Swego czasu, na naradzie u Wojewody Janiaka chwalać się plonami usłyszałem od niego – Behrendt nie mówi, że te wyniki to zasługa jego żony! Musiałem się „odciąć” – Panie Wojewodo, ale tę żonę to ja sobie wybrałem!

I trzecia, rolnicza anegdota. Żniwa w pełni, pora obiadowa, Elżbieta mówi – podwieź mnie do domu, zrobię obiad. Tak też robimy, ale, że zapomniała swojego klucza prosi abym Ją zamknął w domu od zewnątrz – jak będzie obiad zatelefonuje po mnie. Wracam na pole, do kombajnów – 3 John Deery pracują, sypie dobrze – „bajka”! Mija kwadrans, widzę, że ktoś jedzie rowerem na pole. Elżbieta! Pytam co z obiadem, Ona mówi – na polu żniwa, obiady można jadać zimą, teraz szkoda czasu!

Brawo! – też tak uważam! Ale pytam – jak wyszła z domu? – przez okno mówi moja żona. Wspaniale!

Kiedyś (to już nie jest anegdota) miałem propozycję zostać Wojewodą płockim – tylko po co?

Tam faktycznie mógłbym rządzić w pełni tylko swoim kierowcą – reszta – to polityka. W czasach Polski Ludowej występowały rozliczne trudności, nieznane w innych systemach – brak sznurka do pras, części zamiennych itp. My je dzielnie pokonywaliśmy. Był też problem z łącznością – telefony na korbę, zamawianie rozmów, słaba słyszalność... Wynikały stąd zabawne sytuacje. Zrobiłem córce „wizytówki” – Joanna Behrendt – studentka – Uniwersytet Warszawski telefon – Bulkowo 6.

Pojechała do Londynu – na Szkołę Językową. Zobaczywszy taki bilet wizytowy – miejscowi pytali – Kim jest Twój Ojciec?

W Anglii wtedy Londyn 1 to był Premier, Londyn 2 – Parlament itd.

Przyjechali do nas kiedyś znajomi o nazwisku Raginiak. Telefonuję więc do naszego wspólnego znajomego z PGR Dziembakowo (Ryszarda Sutego), zapraszając na kolację. Krzyczę (słabo słyhać) – przyjeżdż, są u nas Raginiaki! Wydawało mi się, że zrozumiał (mówi dobrze, dobrze), ale nie przyjechał. Następnego dnia PGR Dziembakowo dostarczyło nam ciężarówką 100 warchlaków! Ryszard zrozumiał „Przywieźcie nam świniaki”. Kooperowaliśmy, było to więc nawet logiczne. Później, już w czasach „Solidarności” telefony były na podsłuchu. Dowód – dzwoni kolega z życzeniami świątecznymi i na końcu rozmowy mówi – i Panu (podsłuchującemu) też życzymy Wesołych Świąt!

– Dziękuję – słyszymy!

Potem zainstalowaliśmy sobie radiotelefony, a po kilku latach były już telefony komórkowe, co też nieraz powodowało zabawne sytuacje. Przy organizacji Balu Rolnika w „Kawallo” chciałem „przemycić” jakąś atrakcję (Elżbieta o tym nie wiedziała). Wspólnie z Menadżerem Hotelu ustaliliśmy, że będzie to Duet Smyczkowy – nie było tylko wiadomo czy dziewczyny mają wolny termin. Jak Pan to ustali – proszę mnie dyskretnie powiadomić – mówię do Pana Marcina. Minęło kilka dni, jedziemy z Płocka, (z Elżbietą), system głośnomówiący w aucie jest włączony. Dzwoni telefon i słyszymy – Marcin z tej strony – powiem krótko – Dziewczyny załatwione!

Mina Elżbiety – bezcenna!

Niespodzianka mi się nie udała – od tej pory nie używam systemu głośnomówiącego...

W latach 80-tych zawitali do Dzierżanowa przedwojenni właściciele – Pan Zbigniew Mieczkowski i Jego dwie siostry. Nie bez oporów dali się zaprosić na kawę do domu. Jak się potem dowiedzieliśmy – przekonali ich do nas obrazy (reprodukcje Kossaków), wiszące w korytarzu. Odwiedzali nas potem – w różnym składzie – wiele razy.

Rozmowy były dla nas wielce pouczające – poznawaliśmy historię niejako z drugiej strony. Pan Zbigniew (97 lat!) pisze książki, przeszedł szlak bojowy z Generałem Maczkiem, mieszka teraz w Anglii. Pokazałem Mu zdjęcie mojego Ojca – też w mundurze Armii Generała Andersa! Taki zbieg okoliczności...

Siostry – Panie Mieczkowskie – już nie żyją, On chyba się pogodził z faktem, że teraz my gospodarujemy w Dzierżanowie. Dzięki Niemu gościliśmy w domu wielu znakomitych ludzi – np. Pan Radziwiłł z Nieborowa, Pan Wyganowski – Prezydent Warszawy, Profesor Zgliczyński.

W latach 80-tych Województwo Płockie podjęło współpracę z Okręgiem Mińskim (Białoruś). Nam „przydzielono” Sowchoz Nowe Polesie koło Soligorska (są tam kopalnie soli potasowej, znanej dobrze nam, rolnikom). Celem współpracy była wymiana doświadczeń zawodowych i nie tylko... Byliśmy tam z wizytą (kadra) kilka razy, potem Oni u nas.

Dyrektorem był Paweł Szkapicz – Polak – Jego Mama miała w domu książeczkę do Nabożeństwa – po polsku!

W Sowchozie obok – dyrektorem był Łukaszenko, obecny Prezydent Białorusi.

Gospodarka rolna była tam ekstensywna, ale „parli” mocno do przodu. Trafiałem kiedyś na roboczą odprawę Załogi obory – (około 900 krów!) – wydajność mieli około 3 tysięcy litrów od sztuki. U nas było to już powyżej 4 tysięcy. Pytają mnie – co robić, żeby i u Nich tyle było? Mówię – może doić 3x dziennie? (doili dwa razy). Wtedy zootechniczka odpowiada, że próbowali i nic... Musicie więc doić bez przerwy! Dowcip się spodobał – były okłaski.

W ogóle – dobrze się dogadywaliśmy (i dosłownie i w przenośni). My znaliśmy przecież nieźle rosyjski, a Białoruski z Polskim też jest zbliżony. Zaskoczyła nas tamtejsza gościnność. Zapraszano nas do domów, organizowano kolacje.

W czasie zwiedzania Zakładu zapytałem czy nie mają czasem łóżyska do tylnego mostu MTZ – Białoruś? Używali tylko tych traktorów – my też mieliśmy taki jeden, ale się zepsuł – o części w Polsce było trudno. Sprawdzili – nie było.

Na drugi dzień, do stołówki gdzie jedliśmy śniadanie wszedł człowiek i położył przede mną coś zawinięte w gazetę... Pytam Pawła (dyrektora) – co to jest?

– Łóżysko, o które pytałeś!

Ale, mówię, przecież go nie było w magazynie... Tak, odpowiada Paweł, jednak – jak widzieliście – mamy jeden nowy traktor (jeszcze nie używany) więc kazałem go rozebrać i łóżysko jest!

Ot – słowiańska dusza – ktoś inny by tak zrobił?!

Na „trudne” tematy staraliśmy się nie rozmawiać. Paweł sytuację Białorusi podsumowywał tak – „szczęśliwy Naród, nie wie jak źle żyje”. Po zmianach ustrojowych kontakty nasze się urwały – szkoda...

Uroczystości

W czasie pracy w Dzierżanowie starałem się dbać o kulturę. Odbywały się Dożynki (i do dzisiaj są!). Turnieje Zakładów, działały zespoły muzyczne (3), sportowe itp. Świętowaliśmy też zawsze Dzień Kobiet, Dzień Matki, Dzień Dziecka – finansowaliśmy Straż Pożarną (Zakładową) – założoną przez Pana Stefana Mieczkowskiego w 1926 roku. Zajmowało mi to wiele czasu i sporo kosztowało, ale warto było!

Uchroniliśmy też od zniszczenia parę obiektów zabytkowych przekazując je w prywatne ręce (dwory w Osieku i w Pilichowie). Ocalała karetka (po Kardynale Kakowskim) z 1902 r. Starałem się dbać o parki i stawy. Przekazałem też Parafii działkę pod budowę kaplicy w Dzierżanowie. Tego już było za wiele dla Władzy Ludowej! „Donos”, kontrola i.. nagana od wojewody za zajmowanie się „glupotami” za państwowe pieniądze (były przecież jeszcze pszczoły i konie – darmozjady). Wręczając mi naganę Wojewoda Janiak powiedział – dobrze bracie robisz – tak trzymać – a naganę wrzucić do śmieci, jak wrócisz do domu!

Takie czasy...

Szczęśliwie, trafiałem zawsze na mądrych „szefów”. Wywalczyłem też sporo dróg asfaltowych do naszych Zakładów, mówiłem kiedyś publicznie na naradzie w Płocku, że drogi robi się tam gdzie będzie przejeżdżał jakiś Dygnitarz, a nie tam gdzie odbywa się produkcja!

O dziwo – nie wyrzucono mnie ze stanowiska, a drogi są!

Stan wojenny odczuliśmy mocno – nie tyle politycznie, co gospodarczo. Polityką się nie zajmowałem, sądziłem że tam „na Górze” są mądrzejsi i wiedzą co robią.

W tej zmienionej sytuacji trzeba było prowadzić normalną produkcję – bez względu na ustrój – krowy muszą być wydojone!

W Dzierżanowie miałem też „incydent” naukowy. Pewnego jesiennego dnia widzę z gabinetu, że jacyś starsi Państwo wysiedli z Fiata 125 i zbierają kasztany! Wyszedłem przed biuro i... oczom nie wierzę! To Profesor Ryszard Manteuffel* (SGGW), z żoną!

Profesor, oczywiście w muszce. Osobiście Profesora nie znałem, ale jak każdy chyba człowiek w Polsce (po studiach rolniczych) wiedziałem kto to.

Witam więc i proszę Państwa na herbatę. Zaproszenie przyjęli, Profesor pyta skąd Go znam? Opowiedziałem w skrócie mój życiorys i gdy padło nazwisko Niewiadomski (mój promotor) – Profesor Manteuffel uśmiechnął się i poprosił o kartkę. Napisał tam list polecający do Profesora Kierula (sam był już na emeryturze) i oświadczył, że skoro uciekłem z Uczelni Olsztyńskiej, to teraz muszę zrobić doktorat na SGGW! List ten mam do dzisiaj!

Profesor Witold Niewiadomski był, jak się okazało, Jego kolegą. Jeździłem kilka lat na seminaria doktoranckie – zmarł jednak Profesor Kierul...

Szkic pracy referowałem u kolejnego Profesora, ale zlikwidowano P.G.R.-y – temat mojej pracy!

Profesorowie Ziętara i Runowski namawiali mnie na kontynuację, ale trzeba było walczyć w Firmie o przetrwanie – dopadł nas kapitalizm! Przemiany ustroju dokonały się w pierwszej kolejności w P.G.R. Ktoś uznał, że są one siedliskiem „komuny” na wsi. Dziś mówi się, że P.G.R.-y upadły, zbankrutowały. To nieprawda – zostały zlikwidowane jednym zarządzeniem.

Były też oczywiście Gospodarstwa nierentowne, ale nie wolno uogólniać. Zła kondycja przedsiębiorstwa to zawsze jest wynik złego zarządzania – takie jest moje zdanie!

P.G.R.-y dostawały dotacje! To też kłamstwo – dotacje miało całe rolnictwo, ale drobny rolnik otrzymywał je pośrednio.

Po likwidacji PGR, zostałem „Tymczasowym Zarządcą” swojego gospodarstwa. Potem wymyślono dzierżawy. Żeby mieć pracę (nikt wtedy nie myślał o „biznesach” i tworzeniu „latyfundiów”) założyliśmy spółkę (tzw. Pracowniczą) i wystartowaliśmy w przetargu na dzierżawę firmy, w której pracowaliśmy. Wygraliśmy – każdy mógł to zrobić, konkurencję mieliśmy.

Ludzie (pracownicy) niechętnie zapisywali się do spółek, nie dziwię się – nikt z nas się na tym nie znał...

Moja Babcia mówiła, że spółki wymyślił diabeł! Miała rację. Ja myślę, że tego diabła namówili prawnicy! Wiadomo przecież, że jak jest spółka – kilka osób – to się prędzej, czy później pokłócą. Potem sądy, adwokaci, notariusze mają co robić. Nie znam przypadku spółki, gdzie by się nie pokłócono, a jednak ciągle nowe takie „twory” powstają! Widać – nauka idzie w las...

My gospodarowaliśmy jako dzierżawcy ponad 20 lat, spłacając należność za wykup majątku ruchomego (ponad 8 mln zł.) Potem odkładaliśmy pieniądze na zakup ziemi (płacąc oczywiście regularnie czynsz dzierżawny). W umowie był bowiem zapis, że po upływie okresu dzierżawy, dzierżawca ma prawo wykupić gospodarstwo.

Polityka jednak znów zepsuła prawo. Dodano (Minister Sawicki) – po przecinku, nie więcej jak 500 ha. Resztę mieli kupić drobnolnicy – jak zwykle ich oszukano – ziemię kupili w większość przedsiębiorcy – był przecież przetarg!

My kupiliśmy ustawowe 500 ha, pracownicy posprzedawali nam udziały w spółce, wiedząc, że z 500 hektarów dywidendy nie będzie. Do tej pory co roku było od 100 do 200 procent! Tak udziałowcom obiecałem, a słowa należy dotrzymać! Trudno było się przestawić z 1300 ha na 500, ale teraz już się przyzwyczailiśmy. Produkcja, obecnie tylko roślinna, małe zatrudnienie, dobry sprzęt (10 traktorów, i 2 kombajny John Deere).

W ostatnich latach opłacalność w rolnictwie ciągle spada. Przyczyną jest niekontrolowany import zbóż z Ukrainy (polityka!), a i warunki są coraz trudniejsze – susze, upały, brak zim. W ubiegłym roku zakończyliśmy remonty budynków. Co dalej – tego nie wiemy... Są wnuki (córka nie chce majątku), rosną, może któryś – tak jak My, zapala miłośnią do ziemi?

W czasie 45 lat pracy poznaliśmy wielu wspaniałych ludzi. Mieliliśmy szczęście kilka razy rozmawiać z Panem Henrykiem Ossowskim – „Hubalczykiem”. To adiutant Majora. Człowiek przedwojenny –

szarmancki, elegancki, elokwentny. Był przed nami Dyrektorem w Osieku – po tragedii rodzinnej szybko zmarł...

Byliśmy na pogrzebie w Kunicach, rodzowym Majątku Ossowskich. Potem przez wiele lat pracował z nami Jego syn – też Henryk.

W Pilichowie kierownikiem był (na etacie zastępcy dyrektora) Pan Zdzisław Nowacki, człowiek szlachetny, z zasadami. Pochodził z ziemiańskiej rodziny. Zginął – już jako emeryt – w katastrofie „Rotundy” w Warszawie.

Gródkowem kierował Tadeusz Rochmiński, błyskotliwy, energiczny – dobry kolega. Został potem szefem kombinatu PGR Babsk. Prywatnie jest chrestnym naszej Córki.

Zakładem Rieczyn kierował Stanisław Lisicki – uczciwe chłopisko – z awansu społecznego. Wcześniej był dyrektorem klucza Nacpolsk i Gródkowo.

Od 1977 roku pracuje z nami Pani Grażyna Modzelewska – wcześniej w dziale Kadr, obecnie w księgowości... Dużo razem przeżyliśmy...

W Dzierżanowie staż odbywał obecny właściciel Rempina – Janek Kasztelan – wcześniej dyrektor kombinatu PGR Nacpolsk – najlepszego w Zjednoczeniu Warszawskim!

Już na początku naszej pracy (lata 70-te) poznaliśmy młodych lekarzy z Bulkowa Anię i Wiesła Ksycińskich. Zaprzyjaźniliśmy się – trwa to do dziś! Oni – ludzie inteligentni, uczeni – wprowadzili nas w świat kultury – teatr, operetka, bale lekarzy itp. Dużo im zawdzięczamy, a nasze „nocne Polaków rozmowy” są niezapomniane!

Nie można też pominąć bliskich nam Ziutki i Henia Gawrońskich. Z Nimi było tak: – poznaliśmy się prawie 50 lat temu w Błoniu. Ziutka – wtedy jeszcze Maciejewska – była tam zootechniczką, a Henio starając się o Jej rękę dojeżdżał z Poznania. Spotykaliśmy się często w gorzelni Skłoty u Zygmunta – (kierownika) – no i... degustowaliśmy.

Potem drogi się (chwilowo) rozeszły – My trafiliśmy do Osieka. Oni też się tu wkrótce pojawili – los tak chciał! Henio został moim zastępcą, a Ziutka szefową kadr. Zaczęli mówić do mnie Panie dyrektorze – ja też w tej konwencji. Dziwne – w Błoniu byliśmy „na ty”...

Co się jednak odwlecze, to nie uciecze. Gawrońscy, po kilku latach „poszli na swoje” – PGR Koryta. Spotykaliśmy się na naradach, balach, szkoleniach. Polubiliśmy się na nowo i niedawno... przeszliśmy „na ty”! Teraz jesteśmy jak rodzina – znowu mieszkamy blisko siebie – w Ciechocinku. Oni kupili tam mieszkanie to i my nie gorsi – a co?!

Spotykamy się, gadamy, Ziutka gotuje, ja z Heniem degustujemy (z butelki też).

Ten rozdział, o ważnych ludziach nie był by pełen bez... Elżbiety. Tu można pisać dużo, albo wcale. Jak jest, każdy widzi! Elżbieta, studentka wybitna, miała stypendium naukowe, ale z nieznanych do dziś powodów trafiła na staż do PGR Błonie. Może ujawniła się po prostu Jej miłość do ziemi? (albo jakieś inne uczucie?). Byłem w Błoniu i ja – specjalista do spraw produkcji – po ucieczce z uczelni.

Elżbieta zajmowała się służbowo ogrodem i chmielnikiem. Wtedy PGR Błonie prowadziło i takie działy produkcji. Dzięki temu wiemy np. co to jest „wańtuch” (worek do suchych szyszek chmielu). Przygoda Elżbiety z chmielem trwała 1 sezon, a mnie zamiłowanie do piwa pozostało! Los zrządził, że Córka mieszka w Belgii, gdzie produkuje się najwięcej gatunków piwa na świecie!

Po przeprowadzce do Osieka Elżbieta została głównym zootechnikiem – taki był po prostu etat dla żony dyrektora. To, zwłaszcza dla kobiety trudna praca. Mieliliśmy 11 obiektów produkcyjnych – obory, chlewnie – część o ekstremalnie trudnych warunkach. Staraliśmy się codziennie doglądać inwentarz. Zapewnienie paszy, opieki weterynaryjnej, przerzuty, sprzedaż – przy ówczesnym systemie (gospodarka nakazowa!), było prawie niewykonalne. Produkcja zwierzęca nieraz zniechęcała mnie do „dyrektorowania”, wtedy Elżbieta mówiła – spróbujemy, damy radę! Gdzie diabeł nie może...

Kiedy nastały czasy gospodarki rynkowej, zrezygnowaliśmy z hodowli. Główną przyczyną był brak odpowiednich budynków

inwentarskich. Na budowę nowych nie było pieniędzy – spłacał mi „wykup”, kupowaliśmy nowe traktory i maszyny. Wtedy Elżbieta została Głównym Agronomem – nareszcie zgodzie z wykształceniem – kończyła chemię rolną! Jej promotor to św. Pamięci Profesor Mieczysław Koter – jest pochowany niedaleko Dzierżanowa – w Płońsku.

Polami Elżbieta zajmuje się do dziś, z trudnymi do powtórzenia sukcesami, uzyskiwała np.:

- 920 q/ha (II netto) buraków cukrowych z pola o powierzchni 94 ha,
- 113 q/ha pszenicy „Tonacja” z pola 70-hektarowego,
- 180 q/ha kukurydzy (ziarno mokre) z pola 60-hektarowego.

Jest u nas taki „podział” – Elżbieta zarabia pieniądze, a ja je wydaję na traktory, maszyny i inne „zabawki”! Bardzo to lubię!

Ponadto, moja żona potrafi się pięknie ubrać, zaprojektowała wnętrze naszego nowego domu, no i panuje nad... moją fantazją! Niekiedy bowiem, moje pomysły przerastają rzeczywistość! Elżbieta jest osobą realną, zawsze wie co robić, często więc ja nie muszę „uruchamiać procesu myślowego”. Dlatego też moja rada dla męskiej części społeczeństwa brzmi: – wybierz sobie odpowiednią żonę, a potem już nic w życiu nie musisz robić!

U mnie to się sprawdziło!

To taki (średni) żarcik, ale na poważnie – pracę zawsze traktowałem (i traktuję) jako przyjemność, a nie „mus”.

Urlopy

Elżbieta ma dar przewidywania zdarzeń – pewnie mogła by być wróżką... Rolnicza profesja to też trochę przewidywanie zdarzeń – jeśli się trafi – to jest sukces! Jeżeli jest żona, rodzina, to są też jednak i obowiązki. Urlopy – na przykład – trzeba jechać na urlop! Rozumiem to, ale dosłownie – „jechać” – no i wracać, najlepiej na drugi dzień. Sam urlopowy pobyt nudzi mnie. Córka podsunęła mi taką maksymę – nie martw się – nawet najdłuższy urlop kiedyś się kończy! To jest ogromny (jeśli nie jedyny) plus urlopu. Jeżeli już się gdzieś wybieramy, to w znane miejsce. Nie wypocznę, jeżeli w hotelu jest np. „obca” recepcjonistka, pokojówka czy kelnerka. Musi być tak:

– Wchodzimy i słyszę – o dzień dobry – jak miło znowu Państwa widzieć! Czy już po żniwach? To jest urlop!

Latem – od 30 lat – Jastrzębia Góra, wcześniej kamping „Małe morze” na półwyspie helskim. Jeździliśmy tam z przyczepą N-126.

W tamtych czasach wszystko się „załatwiało”. Tak też było z tą przyczepą. Pewnego ranka redaktor Tadeusz Sznuć prowadził audycję („Lato z Radem”) z Niewiadowa, producenta m.in. przyczep kampingowych. Pomyślałem sobie, że byłoby fajnie mieć coś takiego, ale nie mamy przecież „talonu” (przydziału). Zadzwoiłem więc do radia i o dziwo połączono mnie z redaktorem, który wysłuchawszy mojej „kwiecistej” mowy o trudach życia na wsi – załatwił dla naszego PGR przydział na 2 sztuki przyczep N-126!

Byliśmy więc turystami pełną gębą! Wtedy jeszcze kampingi (te na półwyspie) były ciche, rodzinne.

Zimą jeździliśmy do Szczyrku – narty nigdy nas nie interesowały – chodziliśmy szlakami (Magura, Skrzyczne). Niekiedy udawało się jeszcze wyjechać na krótki, jesienny urlop – oczywiście, zawsze do Pieck! Dwukrotnie byliśmy też na urlopie zagranicznym (w R.F.N. – Niemcy Zachodnie).

Zaczęło się tak:

– Na weselu, w Przytułach byli Państwo Bruggemann z Westfalii (znajomi Grażyny Zduniak z praktyki zagranicznej). My byliśmy tam nowym „polonezem” (polski samochód produkcji FSO Warszawa) z przyczepą N-126, wyróżnialiśmy się więc trochę. Oni przyjechali wtedy do Polski Fordem Granada. Goście z Niemiec zapytali nas skąd jesteśmy, gdzie pracujemy. Dałem im swój bilet wizytowy – a tam oczywiście „swojskie” nazwisko! Pytania, tłumaczenia no i efekt – zaprosiliśmy Ich do Dzierżanowa na kawę.

Przyjechali (z Ciocią – tłumaczem), obejrzeli gospodarstwo, okolice no i zaprosili nas do siebie! Przysłali nam oficjalne zaproszenie, w którym udawaliśmy ich kuzynów. Bez zaproszenia nie można było otrzymać wizy. Wyrobiliśmy paszporty no i jedziemy! (jest 1984 rok).

Pierwszy raz w życiu autostrada, dwie granice, inny zachodni świat... Po drodze mieliśmy jeszcze w planie odwiedzić koleżankę mojej Babci w Goslar (Góry Hartzu). Trafiliśmy do tego miasta (bez nawigacji!), ale znalezienie ulicy to już był problem...

– O tu jest posterunek Policji – mówi Elżbieta – wejdź, zapytaj. Tak też zrobiłem – wyrecytowałem (po niemiecku) parę zdań, które znam. Jestem turystą z Polski, (tu pokazałem paszport) szukam Pani Wagner (tu Jej adres). Policjant pyta (po niemiecku) – o moje nazwisko, więc dla ułatwienia mówię, że tutaj – w Westfalii – urodził się mój ojciec. Na tym moja znajomość niemieckiego się kończy...

Pan policjant o tym nie wie, z radością klepie mnie po plecach, długo do mnie mówi, odprowadza do auta. Ja Mu też radośnie dziękuję. Elżbieta pyta – wiemy gdzie to jest?! Nic nie wiemy – mówię. Elżbieta na to – ale przecież rozmawialiście!

To Jemu się wydawało, mówię, że rozmawiamy – ja nic nie rozumiałem, a wstyd było się przyznać – z takim nazwiskiem...

Z kłopotu wybawił nas Murzyn (dziś – Afroamerykanin) na stacji benzynowej, któremu pokazałem adres i rozłożyłem bezradnie ręce.

– Jedź za mną – powiedział po angielsku (to rozumiałem). Podjechaliśmy pod właściwy adres, wyszła starsza Pani, a ja znowu recytuję (po niemiecku) wyuczone formułki – że z Polski itd. Pani wysłuchiwała i mówi:

– Dziecko, mów normalnie, po polsku!

Była to przecież koleżanka mojej Babci – Krystyna – ze wsi Buk Góralski, która po wojnie wraz z rodziną została wysiedlona do Niemiec Zachodnich. Mówiła czysto po polsku – trudna jest ta nasza historia...

Miła Pani, zostaliśmy tam kilka dni, musiałem jej długo opowiadać o rodzinnej wiosce, za którą tęskniła...

Dotarliśmy w końcu do Werl (Westfalia) do zapraszającej nas rodziny. Państwo Bruggemann pokazali nam w ciągu kilku dni okolice, sklepy, ale również rolnictwo! Wszystko było dla nas nowe, piękne, czyste. Nie myśleliśmy, że po kilkudziesięciu latach u nas też tak będzie.. No może nie wszystko.

Potem jeszcze raz byliśmy (po 2 latach) w Werl – nowym autem Fiat 125, które to auto Niemcy brali za dobrze utrzymany „zabytek”, ze względu na kanciaste kształty...

Oni też byli ponownie u nas – Fordem Scorpio – pilotowałem Ich do Częstochowy. Na „gierkówce” Pan Bruggemann zademonstrował nam 180 km/h! „Odłot” jak to się dzisiaj mówi.

Nie wiem, czy do kategorii „urlop”, można zaliczyć nasze wyjazdy do Belgii? Ja źle znoszę pobyty za granicą – lubię dużo mówić, a moje języki obce są – jak wiadomo – bardziej moje niż obce... A już opowiedzieć za granicą dowcip (lubię to!) – prawie niemożliwe – język, inne poczucie humoru... Życie jednak powoduje (a właściwie wymusza) podróże do Belgii. Córka stosuje nieraz szantaż – daje telefon wnukowi Maksowi (miał wtedy 4 lata), a On pyta:

– Czy Ty mnie lubisz?

– Tak – mówię.

– To dlaczego nie chcesz przyjechać do mnie, do Belgii?

Sam pewnie by tego nie wymyślił...

W Belgii bywamy więc, jak już musimy. Na co dzień kontaktujemy się (a właściwie ja) z Córką normalnie tzn. pisząc listy (często rymowane) i wysyłam je pocztą – nie, nie – nie elektroniczną!

Stąd też – na końcu „książki” – znajdziecie Państwo trochę takiej „poezji”. Ogółem tych liścików jest już kilkaset...

Przez telefon też nie bardzo idzie mi rozmowa z Córką. Oto przykład. Telefonuje Joanna:

– Jestem „padnięta”, w pracy urwanie głowy, szefowa ciągle czegoś chce itd.

– Jeżeli praca Cię męczy to jutro już tam nie idź! – mówię.

– A co mam robić? – Joanna.

– Leżeć na kanapie i odpoczywać! – ja.

– A skąd pieniądze na życie i opłaty? – Joanna.

– Prześlemy Ci z Polski! – ja.

– Czy możesz dać do telefonu mamę? – Joanna.

I jak tu zrozumieć własne dziecko? Ja jeszcze nigdy nie byłem zmęczony pracą! Praca powinna dawać człowiekowi radość – to moja recepta na życie!

Prezesowanie

Nam – w Dzierżanowie to się udało, całe życie robimy to, co lubimy. Przy okazji, są z tego pieniądze. Tu dygresja – stojąc np. przed łańcem pięknego rzepaku nigdy nie kalkuluję ile z tego będzie pieniędzy – widzę tylko piękno tego łańcu! Nie muszę – Elżbieta widzi obydwa aspekty...

Mieliśmy szczęście do dobrych ludzi wokół siebie. Załoga nigdy nas nie „wystrajkowała”. My zawsze szanowaliśmy ludzi, ja zwracam się do pracowników – Pan, Pani, nie krzyczę – w zamian otrzymuję szacunek i akceptację.

Mój sposób zarządzania charakteryzują takie oto anegdotki: Jadę na pole i widzę źle wykonaną pracę – pytam więc traktorzystę – Panie Wiśniewski jak Pan myśli – dobrze Pan to pole uprawił?

Traktorzysta mówi – nie, to nie jest dobrze zrobione!

Odjechałem więc z pola, bez dalszej dyskusji. Potem, w „luźnej” rozmowie na dożynkach (publicznie!) pracownik ten powiedział, że była

to dla Niego największa kara – to moje pytanie! Doradził mi nawet, żeby na przyszłość, w takiej sytuacji zrugać Go, dać naganę – czyli „mniej” dotkliwie ukarać.

Inny przypadek, tym razem orka. Kupiliśmy nowy pług, po przeszkoleniu traktorzysty pojechał orać. Ja, po godzinie jadę zobaczyć jak to się pięknie orze, a tu niestety bruzdy, kopce. Pytam więc co się dzieje i słyszę – może Pan by mi ten pług pomógł ustawić, bo ja nie mogę sobie poradzić. Myślę, chce mnie sprawdzić, czy umiem orać, ale ja przecież jestem tu od zarządzania, a nie od orki! Mówię więc – jak Pan nie daje rady, to przecież nie musi Pan orać – proszę zjechać na podwórze i będzie Pan miał spokój. Odjechałem z pola i z daleka, przez lornetkę, patrzę co delikwent robi? On coś poregulował i do wieczora pięknie orał!

Zawsze ceniłem też poczucie humoru u pracowników. Kiedyś, na skraju pola, w krzakach, znalazłem kanister – pusty, nowy (20 litrów). Pytam więc traktorzystę, jedynego, który orał na tym polu – nie wie Pan co to za kanister?

– Pewnie został po II wojnie światowej, jak się Niemcy wycofywali – słyszę... Doceniłem dowcip, zabrałem kanister i nie ukarałem pracownika za próbę kradzieży paliwa.

Próbowaliśmy w pracy stosować płace akordowe – w rolnictwie jest to trudne, tym bardziej, że pracownik nieraz inaczej widzi pracę, niż pracodawca.

Oto przykład z lat 80-tych. Żeby poprawić efektywność w dziale trzody wprowadziłem prosty akord – im więcej warchlaków pracownik przekaże do tuczu – tym więcej zarobi. Niewiele się zmieniło – były podejrzenia, że ten pracownik po prostu podkłada paszę, no i świnki nie przrastają tak jak powinny.

Wkrótce chlewnistrz przeszedł na emeryturę – robimy zawsze z tej okazji uroczystość – nagroda, kawa, toast. Po kolejnym toaście pytam Go – czemu ten akord nie zadziałał?

Panie dyrektorze, mówi – czy ja zarobię 2 tysiące czy 5 – to jest mi wszystko jedno – i tak żona zabierze! (wtedy po wypłatę przychodziły żony – mój pomysł, żeby Panowie mniej pili). Natomiast – kontynuuję emeryt – co wygarnę z korytek paszy i sprzedam – to moje!

Żaden ekonomista by na to nie wpadł!

Myślę, że w pracy osiągnęliśmy sukces. W 2004 roku miałem zaszczyt odebrać od Prezydenta Kwaśniewskiego puchar za III miejsce w Polsce wśród dużych gospodarstw rolnych – oceniano wyniki ekonomiczne. Parę lat później zajęliśmy też III miejsca w Polsce, w Konkursie „Bezpieczne Gospodarstwo Rolne”.

Nasze życie w Dzierżanowie to jednak nie tylko praca. W czasach P.G.R. organizowaliśmy turnieje, działały zespoły muzyczne, sportowe. Cały czas pomagamy finansowo, tam gdzie jest taka potrzeba.

Obecnie przyszło mi „prezesować” (społecznie) Związkowi Przedsiębiorców Rolnych w Płocku – koledzy tak zdecydowali. Były Bale rolnika (10 razy), Andrzejki, Ostatki – są „narady”. Wygląda to tak. Telefonuję do „upatrzonego” Kolegi i mówię – wygrałeś „casting” – w czerwcu u Ciebie Narada! Spotykamy się, zwiedzamy gospodarstwo i główny (a może najważniejszy) punkt „narady” – zjedzenie obiadu na koszt Gospodarza! Są dyskusje, wymiana doświadczeń, informacji itd.

Kiedyś społecznie, przekazałem ziemię pod Kaplicę w Dzierżanowie. Pochwaliłem się tym przedwojennemu właścicielowi Panu Mieczkowskiemu. Ten, dowcipnie skwitował – moją ziemię pan dał!

Miał rację...

Dom

Współczesność to emerytura, praca (to się nie wyklucza!), Wnuki no i dom.

Lubię budować, tak więc „na starość” wymyśliłem budowę domu. Jestem zwolennikiem symetrii i proporcji, mieszkam wśród przyrody, tak więc i dom musi być „wpasowany” w krajobraz. Tak myślę.

Elżbieta, co prawda, złośliwie przypomina mi (za Mistrzem Picasso), że symetria to filozofia dla... idiotów. Ale nic to!

Zdarzyło mi się w życiu pobudować dom wielorodzinny dla pracowników – asymetryczny (modny w tamtym czasie). Pokazałem to „dzieło” Panu Andrzejowi Zemplińskiemu. Jest to najlepszy, współczesny polski malarz naturalista, a zarazem nasz sąsiad z Dworu w Tułowicach.

Obejrzał i zapytał mnie – czy widział pan drzewo asymetryczne?

Olśniło mnie – Hilary Szpilowski miał rację proponując (i projektując) przedwojennej wsi polskiej piękne domy, dwory i pałace – Walewice i Studzieniec. W przyrodzie jest symetria i proporcje! Tego się trzymajmy!

Po wielu utarczkach z architektem, zaprojektowałem więc dom. Jest on normalny, taki jak na wsi powinien być. Ma sień, kuchnię, pokój, drewniane okna ze szprosami, piec kaflowy. Budowa pokazała mi jak wiele jest w tej dziedzinie absurdów. Udałem się np. do Starostwa o pozwolenie na budowę. Składałem projekty (w Wydziale Architektury!) i pytam czy mogę taki dom, w tym terenie pobudować?! Człowiek tam pracujący (z tytułem!) mówi, że Go to nie interesuje – mogę budować dom, jaki chcę! Zdębiałem – po co więc jest Wydział Architektury, skoro można pobudować dom nie pasujący do Krajobrazu?!

Kolejne zaskoczenia spotkały mnie, gdy wykonawca (też z tytułem) pytał mnie (rolnika!) o średnicę kolumn, wysokość kominów ponad kalenicę itp. O naiwny – myślałem, że tych rzeczy uczą Ich na studiach!

Dom stanął – pomyśleliśmy z Elżbietą – skoro, w zasadzie sami zaprojektowaliśmy bryłę budynku, to może urządzenie wnętrza trzeba zlecić fachowcom?

Pojawiła się więc Pani Architekt Wnętrz (po Uniwersytecie), rozejrzała się i mówi – musi Pan zamurować jedno okno od frontu – bo mi się sprzęty kuchenne nie komponują. Zaskoczenie moje było wielkie. Mówię, że dom, bez symetrycznie ułożonych okien będzie wyglądał jak „kaleka” (pirat z opaską na jednym oku). Pani nie rozumiała – nie dogadaliśmy się, wnętrza zaprojektowała Elżbieta i... jest pięknie!

Dom buduje się dla siebie, żaden więc Architekt nie robi projektu lepiej niż właściciel. Architekt, owszem może coś doradzić – jeżeli ma rzeczywistą wiedzę.

Dom doczekał się obrazu (olej 80x100 cm). Był u nas, na kawie Pan Jan Wolek (ten z Kazimierza), stwierdził – macie „pyszny” dom! Poprosiliśmy nieśmiało i namalował.

Przy okazji – mam taką wadę (cechę charakteru?), że lubię wszystkich pouczać, doradzać...

Cóż, taki ze mnie „mały Petroniusz” – Arbiter Elegantiae. Dotkniętych tą moją przypadłością przepraszam!

Dla Rządu mam „recepty” na rozwiązanie wielu „problemów”, np. bezrobocie, samozatrudnienie, jazda na światłach „do jazdy dziennej”. Każdy z tych „problemów” da się rozwiązać jednozdaniowym zarządzeniem odpowiedniego Ministra – czekam na telefon od Nich – za darmo udzielę informacji jak to zrobić! Staram się po prostu – naprawiać świat! Nie jest to proste – wiem – nawet Stwórcy nie do końca się udało.

Kiedyś byłem też mocno osadzony w polityce, należałem do wszystkich, możliwych organizacji. Obecnie realizuję tezę Redaktora Jerzego Iwaszkiewicza – tu cytat – „Polityką się nie zajmuję, bo można od tego nabawić się zapalenia korzonków”.

Gospodarstwem zarządza obecnie młody człowiek, Pan Marek Figurski. Znamy się wiele lat, ze współpracy „cukrowniczej”. Dogadujemy się – On poznaje moje metody pracy, ja Jego zalety i wady. Niekiedy się „kłócimy”. Pewnego razu idę przez pole przygotowane do siewu, widzę duży kamień (kamień to wróg rolnika – niszczy sprzęt). Nie udźwignę go, ale mogę dotoczyć do miedzy, więc toczę. Dzwoni mój telefon – Pan Marek – szefie, mówię, proszę zostawić ten kamień, zaraz tam przyślę ładowarkę, to go weźmiemy!

O nie – mówię – to jest mój kamień, sam go sobie znalazłem i do miedzy dotoczę!

Cwaniak, myślę, niech sobie znajdzie inny kamień!

Kontroluję na bieżąco poczynania Kierownika i przekazuję uwagi. Przed przerwą zimową mówię do Niego – idę w podwórze sprawdzić przygotowanie firmy do zimy. Jak wrócę, przekażę Panu uwagi – proszę czekać z notesem. Wracam po godzinie, kierownik „w nerwach” pyta i co?

– Mam 10 punktów – mówię – wszystko to... pochwały!

Firma dobrze przygotowana do zimy! Ulga wyraźna. Czasem nie jest tak pięknie – cóż życie...

Ideał w przyrodzie nie występuje, ale należy do niego dążyć!

Pan Marek Figurski – przy pomocy Elżbiety – panuje nad produkcją – ja mogę więc realizować swoje pomysły.

Dzierżanowo obecnie

Zjazdy absolwentów, prywatne

W 1986 roku w gronie „ludzi z Kortowa” żyjących obecnie na Mazowszu, wymyśliśmy prywatne spotkania absolwentów. Oficjalne Zjazdy odbywają się co pięć lat przeważnie w Olsztynie.

Pierwszy prywatny Zjazd Absolwentów odbył się 14 czerwca 1986 roku w Dzierżanowie u.. Behrendtów. Każdy przywiózł co mógł, na przykład kolega Krakowski skrzynkę ogórków, które wysypał na środku pokoju! Gospodarze zapewnili lokal, pieczywo, kawę, herbatę itp.

Potem nasze Zjazdy przybrały bardziej dostojną formę – piękne lokale, wykwinne jedzenie. „Rośliśmy w siłę i żyliśmy dostatniej”. Do grona Mazowszan dołączyli koledzy z Warmii i Kujaw. Bywało nas ponad dwadzieścia osób. Zjazdy trwały przez kilkanaście lat w czerwcu lub lipcu, każdorazowo ktoś inny był gospodarzem. Mnie przypadła rola kronikarza – mam do dzisiaj „kronikę” z listami obecności i zapisem ciekawostek zjazdowych. Z tego grona odeszli już Ala i Janusz Kaniewscy, żegnaliśmy ich – my pozostali na cmentarzu w Kutnie...

Zabytki

Od wielu lat marzyłem, żeby mieć „Mercedesa”. Nie było jednak mnie stać na takie auto. Od 2019 roku mam! Tego z marzeń „123”

– beczkę! Żeby mu nie było smutno, to w garażu „zabytków” stoi też traktor John Deere (50-letni) i Star 25 strażacki – 60-letni. Jest jeszcze sporo miejsca w tym garażu. Będąc tam z Wnukiem Maksiem powiedziałem, że można by jeszcze coś starego tu postawić. Ty tutaj stań

– stwierdził Maksio – jesteś przecież starszy niż te wszystkie rzeczy!

Wnuki

Riposty Wnuków bywają zaskakujące! Próbkę Ich „złotych myśli” poniżej.

1) Elżbieta uczy się belgijskiego od Maksia (4 lata).

Ela – jak jest po belgijsku mleko?

Maksio – melek.

Ela – jak są ziemniaki?

Maksio – patoties.

Ela – a piwo?

Maksio – otworzyć i wypić!

2) Maksio (5 lat) planuje wakacje w Polsce, telefonuje i mówi – wiem, że macie w Polsce traktory, kombajny, ale czy macie Morze w Dzierżanowie?

– Nie mamy – mówię.

– To musicie szybko kupić – decyduje Maksio.

3) Mówię, przy zabawie z Maksiem (6 lat) – oj, gadam głupoty.

Maksio – bo pijesz piwo!

Elżbieta – no widzisz? (do mnie).

Maksio – a ty, Ela piwa nie pijesz, a też gadasz głupoty!

4) Maksio (5 lat) był z nami w Dzierżanowie, w Kościele. Wychodzimy, a On mówi – wiem co Oni robią!

– Kto – pytamy?

– No ludzie, co tak składają ręce.

– Tak, i co – pytamy?

Maksio wyjaśnia – w Belgii też tak robimy (w przedszkolach), tylko jeszcze musimy skrzyżować nogi i to jest... joga!

Oto przykład laicyzacji Zachodu – niestety.

5) Maksio (5 lat) na wakacjach u nas, rano mówi – miałem dzisiaj piękny sen...

– A co Ci się śniło? – pyta Elżbieta.

– Śniło mi się – mówi Maksio – że Mama i Tata są już w Belgii – a ja w... Polsce!

6) Maksio – widząc nieznane jedzenie, pyta co to jest?

Elżbieta – pierogi.

Maksio – aha, nie ma ręki ani nogi – to pierogi!

7) Kopiemy buraki, Maksio (6 lat) pyta co się z nich robi?

– Cukier i inne słodkości – mówię.

Maksio podsumowuje – bez buraka, nie ma nawet Tic-taca! (lubi je).

8) Ja do Maksia (5 lat) – w Belgii macie Króla!

Maksio – wiem, widziałem Jego Pałac – a Wy, w Polsce też macie Króla?

Ja – mieliśmy, kiedyś, ale już nie mamy, nie żyje...

– A co Mu zrobiliście? – pyta Maksio.

9) Maksio (6 lat) wozi szaleńczo traktorkiem z przyczepą brata Alexa (2 lata). Ja, biegiem za nimi po pokoju.

Maksio pyta – dlaczego tak za nami biegasz?

– Pilnuję, żeby Alex nie wypadł – mówię.

Maksio, nie musisz – jak On wypadnie to ja Ci powiem!

10) Maksio (6 lat) rozrabia.

Elżbieta mówi – gdzie Twój rozum?

– Na wakacjach – odpowiada Maksio.

11) Alex (3 lata) bardzo nabałaganiał w salonie. Elżbieta mówi

– musisz to posprzątać, bo jak ktoś do nas przyjdzie to co powie?!

Alex – myślę, że powie... Dzień Dobry!

12) Byliśmy z Alexem (4 lata) w Kościele, obserwował z zaciekawieniem Księdza.

Na drugi dzień, wybieramy się do Płocka. Elżbieta poszła na górę się przebrać, założyła sukienkę, schodzi z góry – ja mówię – zobacz Alex jak ładnie się Ela ubrała!

Alex – no, jak Ksiądz!

13) Maksio (7 lat) – podawał mi obiad. W trakcie konsumpcji zgłosiłem uwagę – Panie Kelner – mucha tutaj krąży! „Kelner” ją złapał. Po obiedzie dostałem „rachunek”:

– Zupa 5 zł.

– Kotlet 10 zł.

– Piwo 5 zł.

– Łapanie muchy 5 zł.

Ach – Ci Kelnerzy!

Zakończenie

Taką oto garścią wspomnień i przemyśleń chcę się podzielić z Gośćmi naszego Jubileuszu (a nawet Kilku!).

Proszę wybaczyć śmiałość, która się przejawia w upublicznieniu „rymów częstochowskich”, „fraszek” itp. Myślę, że nikogo nie uraziłem, a jeżeli, to krytykę przyjmę z godnością!

Wiem, że to pisanie jest trochę infantylne (może nawet bardzo), ale cóż – „mimo podeszłego wieku, świetnie zachowałem swój dziecienny umysł”...

A w ogóle – Życie jest piękne!

Autor

* * *

I w taki optymistyczny sposób można by zakończyć to pisanie. Ostatnie tygodnie przyniosły jednak światu grozę! Koronawirus zaatakował Ludzkość... Co będzie jutro?... – za rok... – nie wiemy...

Dzisiaj już młodzi ludzie, którzy wyemigrowali w poszukiwaniu lepszego życia nie mogą powiedzieć: „wsiaadam w samolot, czy samochód i za kilka godzin jestem w kraju!”

Zmieniło się wiele rzeczy tych drobnych, codziennych i tych fundamentalnych. Pozostajemy jednak z nadzieją, że to zło minie i wróć Dobre Dni!

Zygfryd Behrendt

Dzierżanowo, 30 marca 2020 r.

WIERSZYKI KORTOWSKIE (1972-1973)

Kwiat

Rośnie!
Dorósł!
Kwitnie!
Umarł...
Ot i wszystko,
Zginął cicho i zwyczajnie.
Ale, popatrz na ten kwiatek... on jest wielki!
Piękny, żółty i wspaniały!
On zwiastuje Twoją wiosnę,
Oko Twoje krasą cieszy,
Zwabi pszczołę swym zapachem...
A, gdy jesień masz za pasem,
Do refleksji Cię pobudzi,
Po co żyjesz? I dla kogo?
Ale nie daj się oszukać!
Ten kwiat znowu się obudzi!
Więc Ty również,
Uwierz w przyszłość! Uwierz w ludzi!

Myśl niepisana

Dzisiaj miałem już nie pisać,
Iść beztrąsko w ludzkie mrowie,
Lecz... ja tego nie wypowiem!
Dłoń za papier sama chwyta,
Jest uroku wszędzie tyle...
Żywe piękno wokół.
Ludzi złych nie słyszę kroków,
A przyjaciół znam na miłę.
Muszę chwalić, muszę sławić,
Ludzi, wiatr i księżyc...
Muszę głosić wielkie dzięki!
Bo, żyć mogę, kochać, tracić...

Widziadło

Widziałem...
Tak, to ona – jesień,
Widziałem...
Ten wiatr co deszczu krople niesie,
Widziałem...
Słońce nie złote, a miedziane,
Widziałem...
Mgły nad łąką poszarpane,
Widziałem też człowieka...
Szedł pod górę, w jesień,
Poszedłem za nim, hej zaczekaj!
Poszedł... – uciął szelest...
Śnieg pada...
Zapełnia życia rejestr...

Refleksja

Cisza, stała wielka, jasna,
Odurzyła Cię do szczytu.
Wtedy moja дума własna,
Też zginęła wśród zamętu.
To jest prawda, to jest życie,
Co dzień słoneczny i noc czyni głęboką.
Smutkiem darzy nas obficie,
I szczęście rozda szeroko.

Uogólnienie

Dlaczego brzozy takie piękne...?
I sosny – czemu tak wysmukłe...?
Czemu, spojrzenie Twoje tęskne?
Dlaczego, listy już pożółkłe?
Na cóż zegary, nam bez godzin?

Po co dni szare bez uśmiechu?
Dla kogo siebie mamy zwodzić?
Dlaczego żyć w ciągłym pośpiechu?
Niech zegar wieków się zatrzyma!
Niech nic nas nie rozdziela!
By, kiedy życia kres się przypomina,
Móc zmienić dzień ten w czas wesela...

Tylko natura wiecznie piękna, młoda,
Nieskazitelna w swej wzniosłości...
Niech każdy z nas swym życiem też coś doda,
I niechaj trwa misterium w swej całej
wspaniałości...

O życiu – retrospekcje

Jutro nadejdzie szybko,
Szybko jak dzień szczęśliwy mija.
I równie szybko jutro owo minie,
Bo oprócz szczęścia, mija wszystko...

Idź więc do celu swego,
Z wysoko uniesionym czołem.,
I płomień w sercu zapal!
Lecz rozum nad dobro wszelkie ceń z
dobrego...

Wiedz, człowiek zmienną ma naturę,
I kłód u nóg Ci nie zabraknie...
Ukłuje życie Cię boleśnie!
Nim zdolasz okryć się w glazurę...

Jest antidotum jedno,
To właśnie młodość, miłość życia!
Pancerzem Ci się stanie,
I trafisz w szczęśliwego nurtu życia sedno...

Głos ciszy zimowej

I lśnią diamenty iskier,
I drzew korony szron okrywa,
I blask swój nocą księżyc toczy,
I gdzieś radosny ogień światła błyska,
A przyroda... chociaż martwa, a tak żywa,
A Ty wpatrzony w czyjeś oczy,
Tak jasne jak tej nocy światło,
Tak pełne jak życia Twego czara,
Tak czarne jak rozpacz Twojej dno,
Na nowo naturę chcesz zrozumieć,
Na nowo chcesz być sobą,
Na nowo żyć znowu zaczynasz,
I dalej życie tak niepowtarzalnie płynie,
Jak wielorakie są tych gwiazdek śniegu nazwy,
Nie Tobie zagłębiać jednak tajemnicę,
Nie tylko Ty, naturę chcesz zrozumieć,
Bo to jest właśnie piękno,
Bo tu nic umysł nie wyjaśni,
I tylko dusza, umęczona wyrwie się!...
I siądzie na drzewie lśniącym szronem...

RYMOWANKI DLA ŻONY

Kobieto, Elżbieto!

Dzisiaj Dzień Kobiet,
Pamiętam, o Tobie!
Może zaproszę do kina?
(Jesteś „super” dziewczyna!)
W domu zresztą, też jest miło.
Oby nic się nie zmieniło!
Niech zawsze uczucie zwycięża,
(to dewiza Twojego męża)

8 marca 2001 r.

Walentynkowy poranek

Walentego – wtorek – rano...
Śniadanie podano,
Żonę ucałowano,
Wyczyszczono też kominek!
Wszystko to z okazji, „Walentynek”!

PS.
To jest prawda i... nieprawda,
Chodzi o to, żeby fraszka była zabawna!

14 lutego 2017 r.

Wiosna

(Wierszyk radosny,
Z okazji nadejścia wiosny)
Przyszła wreszcie!
Na wsi, w mieście!
Przyroda budzi się do życia,
I zielenią nas zachwyca!
Siły nam wracają, i...
Liczne mieszkania urządzić pozwalają!
Wszystkiego „wiosennego”
(od męża „rymującego”)

20 marca 2017 r.

Nikt się nie dowie

Że, na Dzień Kobiet,
Dla żony fraszkę napisałem,
(a pisałem duszą i ciałem!)
W tej fraszce chodzi o to,
Że, Elżbieta, to kobieta jak złoto!

8 marca 2017 r.

Wierszyk wymuszony (dla żony)

Słyszę,
Że wierszyków nie piszę...
Problem jest taki,
Że, teraz są buraki!
Zadanie jest trudne,
(buraki nie są wcale małe i brudne)
Jednak ktoś z cukrowni pisze, coraz większe
„procenty”,
Jak „najęty”!
Jak z burakami skończymy,
To i lepszy wierszyk ułożymy!
I tyle tego,
Smacznego!

5 września 2017 r.
6.15

Elżbiecie...

Dzisiaj „Mikołajek”,
„Ptasie mleczko” daje!
Świątecznie udekorowane,
Z uczuciem kupowane.

6 grudnia 2017 r.

W pociągu – na rocznicę

Luty 1972 – pociąg z Olsztyna do Warszawy,
A, w przedziale dialog zaczyna się ciekawy.
Dyskutują też (E. i Z.),
Wtedy jeszcze sobie nie znani,
Potem... zakochani!

I rozmawiają tak już 46 lat!
(Zbudowali swój piękny świat!)
Ona – Elżbieta, Królowna,
(twierdzi, że uczucia swego jeszcze nie jest
pewna...),
On – Zygfryd (lew), niezbyt groźny,
Służy żonie jako mąż, kochanek i...
przewoźnik!
Razem – zawsze do szczęśliwego zmierzamy
celu!
Pani Elu!

10 lutego 2018 r.

Elżbiecie

Trzy życzenia na Dzień Kobiet:
Zdrowia! Zdrowia! Zdrowia!
PS.
Nic lepszego nie wymyśliłem,
Choć bardzo się wysiliłem!
Trzymajmy się więc (zdrowia!) tego,
Bo, nie ma nic cenniejszego.

8 marca 2018 r.

Mikołajki 2018

Dziś dla sympatycznej „dziewczynki” –
rodzynki!
Rodzynki są dobre i zdrowe,
Bo... Mikołajkowe!
PS.
A jak się je je, to się wie – „się częstuje”!
(dziękuję!)

6 grudnia 2018 r.

„Na Święty Walenty, ... tulipan jest cięty!”

PS.
Przysłowie to wymyślił autor znany,
Czy kochany?

Luty 2019

Żonie

Ja 6 grudnia,
„Mikołaja” nie zatrudniam!
Sam piszę wierszyk,
I, to nie po raz pierwszy!
Ogólnie, to w „Mikołajki” nie balujemy,
Przeciwnie, sprzątamy, okna myjemy...
Żona gołąbki pyszne gotuje,
Co męża bardzo raduje!
Staramy się żyć godnie,
Bo, tak jest pięknie i... wygodnie!
Żona, co prawda spory nie raz prowokuje,
Ale, mąż ją uśmiechem tonuje...
I tak trzymać!
(innej drogi „ni ma”!)

2019 r.

„44” Rocznic...

Opatrzność pięknie lata Nam odlicza!
Kortowo, Warszawa – w Przytułach wesele,
Tak dużo, i... tak niewiele...
Teraz już „emeryci”, ale ciągle młodzi!
Staramy się nawzajem życie sobie... osłodzić!

Mamy w sobie ciekawość ludzi, zdarzeń i
świata,
Niech więc dalej tak pięknie płyną nam lata!
Żadnemu „złu” się nie damy,
Bo... siebie mamy!
Mąż
PS.
Do szczęścia jak widać potrzeba niewiele,
Wystarczy... Zduniak + Behrendt

28 czerwca 2019 r.

Walentynki 2020

Podobno Biskup Walenty,
Wcale nie był, taki święty!
Ja też, nie jestem święty,
Nie dbam o prezenty...
Czasem tylko fraszkę „skrobnę”,
Z myślą o Tobie!
A, myślę o Tobie ciągle czule,
Czasem nawet pocałuję, przytulę...
(Prawie) zawsze uśmiechnięty.
Twój „Walenty”

Dzień Kobiet

Dziś Dzień Kobiet, więc od rana,
Pijemy szampana!
Albo, może „po staremu” niech zostanie,
Zjemy najpierw śniadanie!
Jeżeli śniadanie smakuje,
To też się przecież... rymuje!
O rymy w wierszyku głównie chodzi,
Cieszymy się życiem, póki jesteśmy... młodzi!

PS.
Elżbieto – dla Ciebie te rymy,
I, ja z nimi!

Ciechocinek, 8 marca 2020 r.
6.45

LISTY DO CÓRKI

Cześć!

Czasami tak się zdarza,
że dostaje się „kawałek” kalendarza.
Ten coś Wam pewnie przypomina.
Był chłopak i była dziewczyna,
Narzeczeni
potem węzłem małżeńskim złączeni!
To tutaj, w Walewicach –
Goście, Rodzice...
Szum, gwar – „czar par” –
– a potem życie...
A życie, to nie tylko Walewice!
Pa-pa
(Ta ta)
PS.
– W załączeniu
Kalendarz „Walewice”

Styczeń 2006 r.

Cześć!

Tym razem chciałem pisać prozą,
ale z pomocą Bożą
pojawily się rymy
i... informacje między nimi.
Bał w Licheniu. Bał już siódmy
nawet nie był trudny.

Dobrze się jechało,
dużo się jadło i sporo tańcowało!
Starałem się trzymać klasę –
mimo, że zapomniałem... pasek!
(Obiecałem żonie,
że teraz to już z zapominaniem koniec!)
Jutro jeszcze „ostatki” balowe
– a za miesiąc... prace polowe!
Na koniec więc przesłanie radosne:
czekamy na wiosnę!
Hej!

15 lutego 2006 r.

Rymowane pisanie, Na nowe mieszkanie

Kochani!
(dotyczy Petera i Ani)
Nowy dom już macie!
(i z pewnością dalej się kochacie!)
Niech ten dom będzie pełen szczęścia i radości,
(i wielu innych wspaniałości).
Macie też życzliwość bliskich,
którzy, jak tylko mogą –
to pomogą.
Musicie jeszcze kupić to i tamto,
(może nowe duże auto?!)
Wspólne życie jednak, to nie tylko kupowanie.
To również wspólne śniadanie,
Poranne wstawanie, gotowanie, sprzątanie.
Wszystko to takie zwykłe normalne,
Wydaje się banalne.
Ale to również cud natury,
We dwoje można przenosić góry!
Życzymy Wam wielu przeniesionych gór,
(a jak najmniej życiowych dziur!).
I takie to przemyslenia,
Z własnego doświadczenia.
E.+Z.

PS.
Każdą dziurę można zresztą załatać!
Mama i Tata

2007 r.

Raport rolny – styl dowolny

Oj Dana, Dana kukurydza zebrana!
Buraki też wykopane, ale jeszcze nie
sprzedane,
Teraz mamy 100 ha do zaorania,
i całą zimę do odpoczywania!
A zimą, wyjazdy, szkolenia, bale,
Tych ostatnich nie lubię wcale!
Na takim np. balu Rolnika,
trzeba 8 godzin nogami fikać!
Jest to czynność wielce męcząca,
Ale trudno, żona jest tańcząca...
Zimą też się w Szczyrku bywa,
I (niewysokie) góry zdobywa.
A tam – na szczycie,
– to dopiero jest życie!
W schronisku jest dobre jedzonko,
np. grochówka z wędzonką!
Po urlopie, niedługo już wiosna – a wiosną,
Pięknie nam zboża i rzepaki rosną!
Słowem – profesję mamy ciekawą,
Praca przeplatana zabawą.
I tak przez trzydzieści (nie razie) lat,
Piękny jest ten świat!

Pa-pa-pa
(to pisałem ja)

Pozdrowienia z Lichenia!

Pobyt nasz był krótki,
bo zapomniałem... kurtki!
Były wykłady o różnych preparatach,
na których zna się mama (i trochę tata),
Potem był bal,
Na 100 par.
Ja tam również byłem,
Trochę piłem, niewiele tańczyłem,
I w sobotę do domu wróciłem.

(Z żoną oczywiście
– Jej zabrać nie zapomniałem
– pamiętałem!)

2007 r.

List Urodzinowa laurka pod tytułem „Przyjechała córka”

Gdy Joanna do ojczyzny spieszy,
Cały świat się cieszy!
W Polsce kwitną rzepaki,
Widok to jest nie byle jaki!
Rośnie trawa na łące,
Na polach harcują zające.
Zieleń się budzi w ogrodzie,
(a żaby w wodzie).
Pszenice pną się do góry,
Wszystko na cześć córy!
Dla Zięcia widzę:
Wschodzące buraki i kukurydzę.
Dla każdego więc coś rośnie,
A to dzięki wiośnie!
Zięć – jako żywo,
Przywiózł pewnie piwo!
(Peter to „równy gość”,
A w ogóle „Van Bockland” to jest ktoś!)
Wyc się chce z radości,
Witamy gości!
Ułożył te słowa
„Nikifor z Dzierżanowa”

PS.
Urodzinowa Joanno!
Żyj Sto Lat! Naprawdę piękny jest świat!

26 kwietnia 2007 r.

Joannie! „Rymy” z Rynu

RYN-cym-cym i hop sa-sa!
Tańczą Panie na obcasach.
Panowie pływają też,
Wzdłuż Sali i w szerz.
(Kiedyś tu Zygfryd de Love balował,
A teraz Zygfryd z Dzierżanowa!)
Nad ranem Pani z Panem udają się do
komnaty,
A po śniadaniu wracają do... chaty!
Powrót z Mazur nie jest prosty,
Bo śnieg zasypał drogi i mosty,
W domu, w Dzierżanowie,
Wracają siły i zdrowie.
Za tydzień znowu bal, czar par...
Jak widać, rodzice bawią się znakomicie!
Nie zapominają też o pracy,
(bez niej nie ma kołaczy).
Wymyślił te bazgroły,
Tatuś wesoły.

27 stycznia 2007 r.

Joanno! Liścik okolicznościowy Mikołajkowy!

Staropolskim obyczajem,
Mikołajki „przesyłam”!
(Rym mi zanika,
Stąd te zawilości języka).
Dwa serduszka, i... banknocik,
Na odrobinę łakoci.
U nas nic ciekawego „ni ma”,
Aha – skończyła się na razie zima.
Teraz telewizją się napawamy,
100 programów oglądamy.
Pozdrawiamy,
I na spotkanie świąteczne czekamy.
Elżbieta i Zygfryd Behrendt

(pisane w niedzielę)
6 grudnia 2008 r.

Cześć!

- 1) „Życie” Jubileuszowe,
Do wysłania już gotowe!
Nie ma tu ważnych wiadomości,
Ale sama przesyłka, to trochę radości?
 - 2) A w Dzierżanowie „rośnie” domek,
Duży, ale ja też przecież nie ułomek!
 - 3) Na polach sucho, nie pada...
Optymizm – jedna na to rada!
 - 4) Jutro jedziemy do Poznania,
A za tydzień przyjedzie Ania!
- Autor znany
(czy lubiany)

PS.
Napisano o 6.00 rano.

25 września 2009 r.

Cześć!

Już po kolędzie,
Wiosna niedługo będzie!
Koniec karnawału,
Zbliża się pomału...
(Jeśli dobrze liczę,
To jeszcze tylko Walewice).
A wiosną,
Nie tylko zboża rosną!
Plany takie są,
Że „urośnie” też dom!
Dom będzie piękny i duży,
Inwestor na taki zasłużył!
(Jeśli nie wyjdzie piękny,
Pobudujemy następny)!

2009 r.

Cześć!

Z Ciechocinka,
Pozdrawia Was rodzinka!
Jesteśmy „pod Tężniami”,
(I to nie sami).
Są Gawrońscy z wnuczkiem Mikołajem,
(którego lubimy, i nawzajem).
Pobyt nasz jest krótki,
Odpoczywamy więc szybko, i...
Pijemy trochę wódki.
Robimy „fotki”,
A wam przesyłamy z hotelu ulotki!

Cześć (idziemy coś zjeść)

24 lutego 2010 r.

Cześć!

Dylewskie wzgórza,
Na Warmii, miejscowość nieduża.
A w niej – o la, la...
Hotel SPA!
Myśmy tu byli,
Jedli, pili i tańczyli,
(I trochę się uczyli).
Za chwilę wracamy,
Pozdrawiamy!

2 lutego 2010 r.

Cześć!

U nas już po kolędzie,
A więc... wierszyk będzie!
Wierszyk właściwie już się zaczyna,
Mimo, że trzyma tęga zima!
Dzisiaj były 24 stopnie mrozu,
Przydaje się tęgi kożuch!
My się jednak zimą nie przejmujemy wcale,
Żyjemy kolejnym balem!
Tym razem będzie to „Ballo” – Kawallo!
Uroczystość niezwykła – „Bal Rolnika”
(Ja nie tylko baluję,
Ale i organizuję).
Potem jeszcze tylko dwa bale, i... wiosna!
Bardzo lubię wiosny, ale przecież między nimi,
Muszą być zimy!
Będą więc też kolejne bale – ... i tak dalej!
Tak oto filozoficznie, kończymy,
W środku zimy...

25 stycznia 2010 r.

„Ballo” – „Kawallo”

„Kawallo” to miejsce daleko za miastem,
Bal rolnika zaczęliśmy szampanem – toastem.
Potem – zaskoczenie duże,
Panie dostały różę!
Jeszcze tylko moje przemówienie,
i... jedzenie!
Gdy obiad miał się ku końcowi,
Pojawił się duet smyczkowy!
Panie grały nam Bacha, Vivaldiego,
I walca Kazaneckiego.
„O sole Mio”,
Też było!
Bisy były,
Czyli moje pomysły się sprawdziły!
A potem, do rana,
Oj dana, dana...!
Na koniec wszyscy dziękowali,
I do księgi się wpisali:
Abyśmy za rok się spotkali!
Może dobrze, może źle,
Bal wymyślił Zygfryd B.
PS.
Pomagała mi żona,
Jak zwykle roztańczona.

30 stycznia 2010 r.

Cześć!

1) W Dzierżanowie znowu pada deszcz,
Martwi się szef (i jego żona),
Bo kukurydza nie jest skończona.
2) Ty – tymczasem,
Na „obcasy wysokie”,
Możesz „rzucić okiem”.
A w nich spotkasz Capponi – włoszkę,
(taką „polską” troszkę).
3) Jest też „motor”, a w nim C-3 („cytryna”),
Nowy model się zaczyna.
4) O nowym domu dwa słówka,
Jest już dachówka!
(na razie, to dachu połówka).
Nie wiem co się jeszcze wydarzy,
Ale komin budowali 3 razy!
Najpierw był za mały,
Potem cegły nie pasowały.
Dzisiaj w starym domu sprzątamy,
Telewizję oglądamy, czytamy, odpoczywamy...
Jutro ma być słonecznie,
To popracujemy w polu – koniecznie.
Pa-pa!
(to pisałem Ja!)
PS.
Napisałem niewiele, bo pisałem w niedzielę.

16 listopada 2010 r.

Jarmark Tumski

Cześć!
Z Płocka wracamy,
Folder mamy,
No to wysyłamy!
Nasza karetka znów jest w Płocku, robi furorę,
Tłumy przy niej spore!
Cała Tumska ulica,
Dziś przedwojenną urodą zachwyca.
Wśród kramów i wystaw – pełen troski,
Biega Sławek Roszkowski!
On bowiem to organizuje,
I... z nami się fotografuje!

13 czerwca 2010 r.

Cześć! (pisze do was teść)

Przesyłam wam zdjęcia,
(i coś dla zięcia).
To jest coś sportowego,
Ale nie wiem co to takiego.
W Polsce czas piękny taki,
Kwitną rzepaki!
Widok ten wielce rolnika cieszy,
I tenże rolnik z ochotą (i z żoną) do pracy
spiesz.
Do tej „żółtej radości”,
Dochodzi jeszcze potęga zieloności.
Piękna jest nasza praca,
(I jeszcze się opląca!)
Rymował Z. Behrendt
(ale napisał niewiele)

2010 r.

Hej!

Żniwa skończone!
Chwałę swoją żonę!
Jest świetnym agronomem,
I dobrze zajmuje się domem!

Zboża nam pięknie plonowały,
Choć sprzedać się nie dawały...
Mama kolejny sukces odniosła,
Choć ma męża, niekiedy osła...
Koniec listu i kropka.
(choć to nie list, tylko „szopka”!)

Poniedziałek 2010 r., 6.30

Anna „Solenizantce”

Dziś – w czasie śniadania,
Pomyślałem – Ania!
(26-07 – Anny)
Jest Ania Ksycińska, jest Ania Nowicka.
Jest też Ania, bardzo nam bliska!
Nasza „Ania” – córka i już żona,
To kobieta (mam nadzieję) spełniona!
Niech więc żyją wszystkie Anie,
A nasza niech tą najukochańszą pozostanie!
E + Z

PS.
Prezentu nie mamy,
Więc „gazetę” przesyłamy

26 lipca 2010 r.

Cześć! (to Ja – teść)

Mam dla Was „News” niewielki,
W łazience pojawiły się kafelki!
Murarze kończą też „plaster”,
(kafelki układa sam Majster!)
Dom pięknieje,
Aż się dusza śmieje!
My tymczasem próbujemy siać rzepaki,
A przeszkadzają nam deszcz i... ślimaki,
(Deszcz pada,
A, ślimak roślinki zjada...)
Rolnik jednak się nie daje,
Jak się wyśpi, jak się naje,
To pokona wszelkie trudności!
(Nawet jak się żona na niego złości...)
Ty się nie złościś na swego męża żono,
A będziesz zawsze kochaną, wielbioną!
Cześć!

PS.
Rymy są proste,
Ale myśli wzniosłe!

3 września 2010 r.

Cześć!

1) Wczoraj już spałem,
Telefonu nie odbierałem.
2) Pracy mamy teraz wiele,
Siejemy nawet w niedzielę.
(Praca uszlachetnia,
My mamy jej dużo od kwietnia)
3) Na budowie – optymistycznie
Skończą... przed styczniem!
4) Tymczasem dodatkowe zajęcia wymyślamy,
Spotkanie w „Kowallo” przed nami,
„Podgryza” mnie trochę trema,
Ale, któż jej nie ma!
Zakończenie:
(Uszy do góry,
Z optymizmem w głowie, zdobędziemy
chmury)

Wyszło wzniosłe,
A miało być tylko radośnie..

Poniedziałek, 6.00 rano

Cześć!

1) Krótko będzie o kolędzie,
(... i o zimie, o Maximie)
Był w sobotę ksiądz, błogosławił,
Obrazki zostawił,
Błogosławił Nam, i Wam!
2) Zimy chwilowo brak,
Tak, tak...
Śniegi, mrozy ustąpiły,
Pola się zazieleśniły.
Zima pewnie jeszcze wróci,
I nam dokuczy!
3) Teraz radośnie:
Maxim rośnie!
Wszystkie jego „wyczyny”,
To teraz nr 1 dla rodziny.
My też mu „kibicujemy”,
A rodziców... całujemy!
Pa-pa
Mama i Tata

17 stycznia 2011 r.

Cześć!

Dawno już nie „rymowałem”,
Pewnie trochę zleniwiałem...
Tymczasem ma się ku wiośnie,
A, ... Maxim rośnie!
Coś spostrzega, trochę gaworzy,
Świat swój tworzy.
Rodzice zmęczeni,
Ale, zadowoleni!
A Polscy dziadkowie?
Na razie służy im zdrowie,
A, więc pracują, budują,
(trochę balują...)
Czekają też na kolejne spotkanie,
Zawsze radzi widzieć Maxa, Petera, no i Anię.
Wymyśliłem nawet takie przesłanie,
Każdy dzień hasłem zaczynaj,
Niech żyje rodzina!
Niech żyje też Flandria i Polska,
(A, szczególnie Wasza i Nasza... wioska!)
Pozdrawiamy gorąco!
„Poeta” i jego kobieta

24 lutego 2011 r.
6.30

Cześć!

Dzisiaj pierwszy dzień wiosny,
Zatem wierszyk piszę radosny!
Już w piątek, z rana,
Widzieliśmy bociana!
Chodził samotny po łące,
I... czekał na słońce!
W sobotę i niedzielę był lekki mróz,
A dziś koniec zimy... i już!
Cieszymy się więc wszyscy, jak dzieci,
Bo... słońce świeci!
Kończę wierszyk radośnie,
Też dzięki... wiośnie!

21 marca 2011 r.
6.15

Cześć!

Ważne tematy, według taty
Sobota – 26 marca
Dzień wielkich wydarzeń!
1) Adam Małysz zakończył karierę!
(nie skoczy już w niedzielę...)
2) Wycięliśmy też w ogródku drzewa,
(żona się trochę gniewa...)
Nie ma modrzewia winem oplecionego,
Ale, posadziliśmy coś innego!
Brzozy, jarzębiny, dęby i krzewy,
Będzie pięknie, jesteśmy pewni!
3) W nowym domu kolejna pani coś
projektuje,
A, ja koryguję!
4) Na polach wiosna nieśmiała,
Trochę zielona, trochę biała...
Jest już czas siewu buraka,
Ale, ... cena nie taka!
Takie to są dylematy,
Rolnika – Taty
Cześć!

2011 r.

Cześć!

Już (na szczęście), po długim weekendzie,
Praca znów będzie!
Pierwszego maja wypoczęliśmy – niezmiennie,
W Skansenie!
Drugi dzień – to Ciechocinek
(skąd pozdrowiliśmy Waszą rodzinę).
Trzeciego – ku naszej radości,
Przyjechali Gawrońscy!
Wiosenna pogoda się zmieniła,
Chwilami, do zimy się zbliżyła,
Dzisiaj w nocy – 3oC!
(a więc rolnik jest zły!)
Jutro się jednak ociepli,
I, nastrój się polepszy.
A, w ogóle czy to wiosna, czy zima,
Pozdrawiamy Maxima!
(no i Was – raz po raz!)

4 maja 2011 r.

Cześć!

„Mikołajki” się zbliżają,
Więc rodzice wysyłają,
Wesołe życzenia,
I „Euro” na coś słodkiego do zjedzenia!

PS.
Dom meblujemy,
Na was oczekujemy!

6 grudnia 2011 r.

Cześć!

1) Niech żyje bal!
Dzisiaj trochę żal...
Że, się skończył ten bal...
Bał rolnika, co orze, sieje, kosi, i kopie,
Ale, nie martw się chłopie,
Będą następne rozrywki w karnawale,
Bliżej i dalej.
W Toruniu, i koło Karbówka,
Oby, tylko wytrzymały nogi... i główka!
2) A gdzieś tam w Europie,
Maksio dorasta!

... i basta!
To jest chłopak na schwał!
(oby tylko mądrych rodziców miał!)
W Dzierżanowie czeka na niego,
Traktor i koń,
I... Babci Eli pomocna dłoń!
Belgijscy dziadkowie – „przyłóż do rany”,
Słowem Maksio jest w całej Europie kochany!
3) A u nas: nowy dom, kominek, wypoczynek!,
I... ten wierszyk
(w nowym domu pierwszy!)
Niech się więc rymuje,
Rodzina niech się miłuje.
Maksim niech zdrowo rośnie,
A, my wszyscy, idźmy radośnie,
Ku... wiosnie!
Hej!
Tylko tak!
(a jak!)

16 stycznia 2012 r.

**Polska
Usprawiedliwienie**

Nie polecę do Willebroek,
Bom jest latania wróg!
Lubię Joannę, Maksia i Petera,
Ale, nie dla mnie samolotowa era...
Jam jest człowiek wolny, chodzę po ziemi,
I pozostaje mi... tęsknić za „Belgami”
swojami...
Maksio, za to, do latania jest skory,
(no i lubi kombajny, suszarnie, traktory...)
Może los tak zdarzy,
Że, będzie w Dzierżanowie gospodarzem?!
A tymczasem w Polsce jesień,
W kominku ogień płonie...
Mama mówi – zadzwoni do nich
Więc dzwonię i tak do Belgii raportuję:
Kukurydzy nie kosimy, bo skończona...
Maksio mnie „prostuje”,
Jest już ciemno (19.00), i dlatego kombajn nie
pracuje.
Maksio nie ma ochoty na dłuższe rozmowy,
Do spania jest już gotowy!
Ja go doskonale rozumiem,
Już na „Teleexpressie” zasnąć umiem.
A zatem:
Dobranoc, Cześć!
(pisał ojciec, dziadek i teść)

15 listopada 2013 r.
19.00

Cześć!

1) Wczoraj w Polsce „Wielka Orkiestra” grała,
I „serduszka” rozdawała.
O was pamiętamy,
Jedno wysyłamy.
2) W sobotę była u nas kolęda,
A więc obrazek „leci” do dzieci!
3) Dzisiaj przyszła zima,
Ale śniegu nie ma!
(Jedynie co ma, to – [-2] (minus dwa),
Jak (prawie) wszyscy Polacy,
Jesteśmy dziś w pracy.
Planujemy, co wiosną zasiejemy.
Robimy też bilans, za rok poprzedni,
Wychodzi, że nie jesteśmy biedni!
Potrzeb zresztą dużych nie mamy,
Dobrze nam ze sobą (i z wami!).
Cieszy nas Maksio, wiosna i pola,

Obca nam zaś turystów zagranicznych dola.
Żyjemy sobie tu w Dzierżanowie... w zgodzie z
naturą.
(Starając się nie zadzierać z górą!)
Opatrzność (na razie) nad nami czuwa,
I kłody spod nóg nam usuwa.
Więcej „duchowych” refleksji dzisiaj nie
będzie,
Te, co były, to na kolędzie...

PS.
Niech Wam wszytek Nowy Rok,
Wolnym będzie od troski!
(– że zakończę Kochanowskim!)

13 stycznia 2014 r.

Potwierdzenie

Decyzja podjęta!
(Kto ją podjął – nie pamiętam...)
Lecę do Maksima!
(innej możliwości „ni ma”...)
Zabieram też żonę – Elę.
(przylecę w niedzielę, odleczę w następną
niedzielę).
Tymczasem w Dzierżanowie,
26-tego z samego rana,
Choinka została rozebrana...
A, w biurze,
Zamieszanie duże!
Jest głośno, i brudno,
Ale, cóż – trudno!
Za dwa tygodnie,
Będzie pięknie i wygodnie!

(Autor znany i... czy wszędzie lubiany?)

27 stycznia 2014 r.

Wolna sobota

Dziś wszędzie wolna sobota,
A w Dzierżanowie wre robota!
1) Pan Dąbkowski muruje, tynkuje,
Potem wszystkie budynki pomaluje.
2) Pan Tyburski wymienia dachy na nowe,
Do Wielkanocy wszystko będzie gotowe!
3) Jest też z Płońska firma „ALA” (która silosy
remontuje),
Ta bardzo ślamazarnie pracuje...
4) Dzisiaj kuchnię kończy „Rustika!”,
Ale, ... szafka się nie domyka!
5) Z Wyszogrodu firma „Cichocki”,
Wkrótce położą na podwórzu 600 m2 kostki.
6) Pan Zuchora z Główna w cztery dni
majowe,
Zrobi piękne miejsce parkingowe –
(betonowe).
Sporo (– oj sporo!) to wszystko kosztuje,
Ale bardzo szef się cieszy, jak się firma
buduje!
Zarabia na to Agronom,
Który, jest też moją Żoną!

5 czerwca 2014 r.
6.15

Cześć!

Trochę „zdziażdżiałem”,
Daaaawno listu nie pisałem...
Dzisiaj też tylko przesyłka mała,
Lub, jak kto woli,

Pozdrowienia z Żelaznej Woli!
Dla Maksia jest horoskop i traktor,
No... i poszło gładko!
Tata
Z Polski
(na pozór beztroski)

12 października 2014 r.

List okolicznościowy – temat Nowy!

Listu dawno nie pisałem,
Ba, nawet kartki nie zrymowałem.
Jednak dziś rano wena mnie nasza,
(i do tej pory nie odeszła!).
Ten temat nowy,
To Alex urodzinowy!
Kończy roczek,
A to w dorosłość pierwszy kroczek!
Rodziców ma mądrych (– bez przesady),
Dziadków też nie od parady,
Ma też brata,
Co samolotami lubi latać!
Alex na pewno będzie mądrym człowiekiem!
(mądrość przychodzi z wiekiem!)
Jaki świat dorosły Alex zastanie?
Tego nawet my przewidzieć nie jesteśmy w stanie...
Wszyscy życzymy mu dobra wszelkiego!
Z serca całego!
Zanotował
Wierszokleta z Dzierżanowa

PS.
W promocji „limeryk”
(linijek – cztery!)
Limeryk – wiewiórek
Wiórka (wie) siedzi na drze (wie) i orzechy rwie.
(To jest „limeryk”,
Od, którego można się nabawić... cholery!)

Dotyczy wiewiórek z Dzierżanowa,
Reszta niech się schowa!

18 lutego 2016 r.
11.00

Koń (a sprawa Kortowska)

Patrzcie dzieci,
Jak ten czas leci...
Dziadek Zygfryd na koniu!
(na Kortowskim błoniu)
Jeździło się konno, połowało, studiowało,
Dziewczyny zaczepiało (– nieśmiało).
Aż jedna Ela zagięła parol na dziadka,
I, ... jest nas teraz spora gromadka!
A tymczasem, w dziadku jeszcze niekiedy
budzi się zew,
Konie, kobiety i śpiew!
(Wkrótce zostanie
tylko śpiewanie...)

PS.
Ta „twórczość radosna” – to... wiosna!

2016 r.

Joanno!

Wierszyk całkiem nowy
(w treści mieszkaniowy)
Już długo nic nie rymowałem,
Ba, nawet listu nie napisałem...

Od rana do nocy, i od nocy do rana,
Mieszkania, mieszkania, mieszkania...
Ogrodowa, Szamocka, Żmija...
... i tak tydzień za tygodniem mija...
Portfel jest już bardzo cienki,
Ale, „rosną” kuchnie, podłogi, łazienki!
„Ogrodowa” już prawie ukończona,
Ciekawe, czy zadowolona będzie żona?
„Szamocka” – poczekajmy troszeczkę,
Czy, zadowolą zięcia i córeczkę?
(A Maksio mówi, że to wszystko jego!
Masz rację kolego!)
Jest jeszcze mieszkaniowa wątpliwość mała,
Czy, (i komu) kupić pałac?
Możemy też w Dzierżanowie,
Pobudować dwór – sobie!
Duchem wszak jesteśmy młodzi,
A, że „70” lat na karku – cóż to szkodzi!
I takie to są te „Mikołajkowe rymy”
(podpisuję się pod nimi Z.)

2 grudnia 2016 r.
6.15

„Po wakacjach” – przemyślenia

Joanno – córko jedyna i pierwsza,
Tyś warta wiersza!
A ja mogę Ci dać tylko częstochowskie rymy,
A i to błąkam się między nimi,
Szukam, krążę,
(nie zawsze z właściwym zdążę...)

Z dała od Polski życie sobie ułożyłaś,
Oby, ta Belgia zawsze była ci miła...
Dzieci po Polsku, żeby mówiły,
(i pacierz czasem odmówiły!)

A kiedy moja głowa, będzie już stara i siwa,
Żebyś mi podała szklankę... piwa!
Nie wiem czemu wyszło tak wzniośle?!
(może lepiej pisać po prostu o... wiośnie?!)

Sierpień 2017 r.

Na Nowy Rok

Jest styczeń,
Rodzina z Polski list pisze,
Właściwie to pisze, rodziny połowa,
Mówią, że „głowa”,
Druga połowa – to mama,
Zawsze taka sama!
Pełna rozwagi, i troski,
Gotowa wziąć „na siebie” wszystkie problemy
Belgii i Polski,
Mama gotuje, sprząta i pierze,
Ale, widziano ją też w Warszawie na spacerze i w... operze.
To kobieta ładna, zgrabna i wykształcona,
Słowem prawie idealna żona!
Prawie – bo ideałów nie ma na świecie,
O czym przecież dobrze wiecie.
Zima w Polsce na razie taka trochę nieśmiała,
Jakby, się czegoś bała...
Może rychłej wiosny, a może niedawnej
jesieni?
To się pewnie wkrótce zmieni,
Myślę, że mróz,
Jest tuż, tuż!
A w Nowym Roku,
Wszystko co złe, zostawmy na boku!
Cieszymy się każdym dniem,
A życie będzie piękne, jak dobry sen!

I... to już koniec wierszyka...
(zresztą rym mi zanika!).

5 stycznia 2018 r.

Rymy wiosenne „bezcenne”

Przyszła wiosna!
Zimna, lecz radosna!
Mała jej odrobinka,
Przyjechała z nami z Ciechocinka!
A w Dzierżanowie, z samego rana,
Widziano tulipana!
Z ziemi dziarsko się wychylił,
Ale, troszkę się pomylił!
(przez dwie noce było minus siedem,
Cierpi więc tulipan biedę!).
Tak się przestraszył,
Że, z powrotem pod ziemię się zaszył!
Straszne to smutki,
Bo, tulipan malutki.
Nic to, jak podrośnie,
Uśmiechnie się kwiatem, ku wiosnie!
Rymem „popisał” się
Zygfryd B.

Marzec 2018 r.

Joanno! Jesień w Dzierżanowie

Dzisiaj dzień „nie byle jaki”
„Holmer” kopie w Osieku buraki.
Na tym samym polu – jeśli dobrze liczę,
Za trzy dni zasiejemy pszenicę!
Buraki ładnie rosły,
Od samej wiosny.
Potem je chwościk męczył,
Nie będzie więc z nich, zbyt dużo pieniędzy.
Jesień w tym roku jest dla rolnika łaskawa,
Oby, jeszcze deszcz popadał.
Ogólnie – rolnik to brzmi dumnie,
To człowiek, co przyrodę rozumie.
Orze, sieje, rośliny chroni,
Słowem, z troską podchodzi do nich.
Poła dają mu radość,
Potrafią się też odwdziżyć – odrobiną
pieniędzy!
Może on sobie kupić więc to i tamto,
A nawet... nowe, duże auto!
Maksio też chce auto „zielone”,
Oczywiście dobrze wyposażone!
Dla brata Alexa chce „kampera”
(przynajmniej „na teraz”)
Za tydzień Maksio i Alex do Polski przyleci,
Cieszymy się jak... dzieci!
Pokażemy im buraki, i inne pola,
Bo taka jest ich wola.
Może los tak zdarzy,
Że, któryś z nich będzie w Dzierżanowie
gospodarzem?
Trzymamy kciuki!
(a na razie chłopcy – do nauki!)
Pozdrowień wiele
Tata Behrendt

19 października 2018 r.

Raport o stanie duszy (w sytuacji suszy)

Główny problem, który teraz nas porusza, to
susza...
Nie pada, nie pada, nie pada,

Biada nam biada...
Przyroda jest smutna i szara,
A rolnik się przecież stara!
Dlaczego susza, czemu nie pada? – nie wiemy,
To są problemy!
Autor sfrustrowany
(jako Zygfryd B. znany)

2019 r.

Joanno!

Dzisiaj znowu lecą do mnie rymy,
Bo ja dobrze żyję z nimi!
U nas deszcz ciągle nie pada,
Co gorsze – pada u sąsiada!
Jutro kończymy kukurydzę,
Ale, plony – aż się wstydzić!
60 q z hektara,
A rolnik się przecież stara...
Buraki też malutkie,
A ja przecież nie jestem krasnoludkiem!
Koniec listu, basta!
(zjemy sobie trochę ciasta!)

2019 r.

Cześć!

I znów „Orkiestra” Owsiaaka grała,
Serduszka rozdawała!
Myśmy więcej wzięli,
Żeby się z wami podzielić!
A poza tym, jest... zima,
Choć praktycznie, to już jej „ni ma”!
Świat jest dzisiaj szaro bury,
Deszcz, wiatr i chmury...
My jednak młodość w sercach mamy,
I szarości się nie damy!
Dużo rozmawiamy, często wyjeżdżamy,
(mieszkania odwiedzamy...)
Zakończę cytatem:
„lepiej być szczęśliwym, niż mieć rację”, i...
Idę na kolację!

14 stycznia 2019 r.

Cześć!

Dzisiaj tak powiem:
Ważny dzień w Dzierżanowie!
Kolęda, poważne rozmowy,
(i już rym gotowy!)
Ksiądz nasz ciągle coś buduje,
Naprawia, remontuje...
(a to kosztuje!)
Parafia się rozwija,
Ludzi w kościele przybywa!
My staramy się pomagać, ale „problem” jest
ogromny!
Bo... nasz ksiądz jest skromny!
Prowadzimy więc „dyplomatyczne” rozmowy,
Ale, ważny jest przecież efekt końcowy!
Uważamy, że tak trzeba,
Może nas za to przyjmą choć w przedsionku
Nieba...
Rozpisałem się dzisiaj „kościelnie”,
Ale tak w ogóle, to trzymamy się dzielnie!
Oby do wiosny!
Taki na koniec rym radosny.
Wy też się trzymajcie,
O Polsce pamiętajcie!
Tata z Polski
(jak zwykle radosny)

20 stycznia 2019 r.

Na koniec wakacji

Wakacje, wakacje, wakacje...
A dzisiaj już sami jemy kolację...
Pusto i cichutko,
I... troszkę smutno...
Nostalgia z każdego kąta wyziera,
Przynajmniej teraz...
A jutro praca, fryzjer, śmieci,
I tak pierwszy dzień bez Was zleci...
Dzieci – to prawda, są dynamiczne,
Ale za to mądre i śliczne!
Dom w Dzierżanowie już wysprzątny,
Ale My w nim – sami...
I taki to wierszyk „się napisało”,
Jak się wspomnieniom poddało...
Do zobaczenia – cześć!
(Dziadek, Ojciec, Teść)

15 sierpnia 2019 r.

Joanno!

U nas wszystko dobrze, a nawet znakomicie!
(tzn. znakomicie nieraz bywa)
W związku z tym, do Belgii „leci” Viva!
(Ten rym niestety,
Pasuje jak wół do karety...)
Może kiedyś – jak Ci patriotyzm nie wróci,
I na „Ojczyzny łono” nie powrócisz,
Twoja „Europomania”
Przybierze imię np. Toskania?
To nie są oczywiście od nas dla Ciebie
życzenia,
Ale cóż, świat się zmienia...
Jest jednak wartość stała – rodzina!
(i tego musimy się trzymać!)
Dość tego „zadęcia”,
Przesyłamy warszawskie zdjęcia.
Pięknie było,
(anginą się skończyło...)
W życiu tak bywa,
Czasem los jest łaskawy, a czasem nas
„wykiwa”...

PS.

U nas dziś pada deszcz.
Cześć!

10 października 2019 r.

„Co u nas”?

Kolęda była, Owsiakowa Orkiestra grała,
Radość wszystkim się udzielała!
My – w Ciechocinku,
Na (krótkim) wypoczynku.
„Ale to już było”,
Teraz się zmieniło, i... też jest miło!
Przed nami „wiekopomny” Jubileusz!
(coś tak jak otwarcie... muzeum?!)
Lista gości, lokal, atrakcje,
A przecież to wakacje.
Temu nie pasuje,
Tamtemu urlop się psuje...
Wszelkie „trudności” jednak pokonamy,
I... mam nadzieję – się spotkamy!
W Dzierżanowie, tymczasem wiosna zamiast
zimy!
A właściwie, to coś między nimi...

I My jak zwykle się martwimy...
Ale głowa do góry!
Jedziemy (nie, nie w góry!)
Do „Kowallo” się dziś wybieramy,
Może coś poustalamy...

Tata

PS. 1

Serduszka przesyłamy,
I jak zwykle pozdrawiamy!
(wręczył je nam osobiście,
Prezydent Płocka, który kwestował w „Wiśle”)
PS. 2

Kolęda!
Obrazki wam dedykowane,
Przez ks. Proboszcza podpisane!

13 stycznia 2020 r.

FRASZKI

Białowieża

Pozdrowienia z „Żubrówki”!
(od tej w butelce,
trochę bołą nas główki).
Za chwilę ruszamy w siną dał,
To znaczy, na następny bal!

2004 r.

Kartka z wakacji

To już połowa urlopu!
Tylko po co urlop chłopu?
Pozdrawiamy,
W sobotę wracamy!

2011 r.

Fraszko-limeryk

Aktorka Glinka, urodziła synka!
Synek nie jest... z gliny,
Jest maminy!

2010 r.

Jachranka

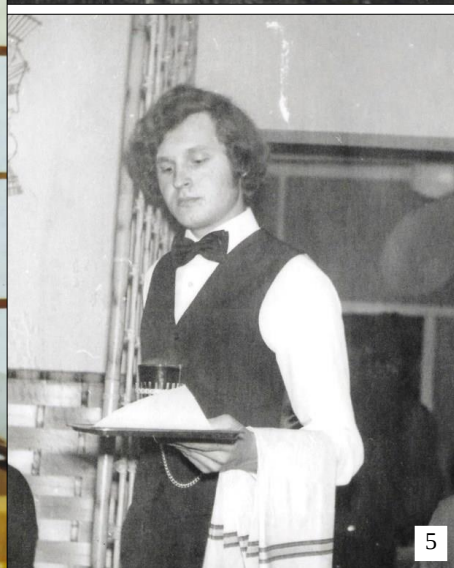
Pozdrawiamy Was
z „Warszawianki”,
(to znaczy z Jachranki).
Jeżeli ktoś jest bardzo ciekawy,
To Jachranka
jest niedaleko Warszawy!

2005 r.

Fraszka świąteczna

Ileż dziś radości!
Witamy zagranicznych gości!
Cała rodzina uśmiechnięta,
Zaczynają się święta!
Będą też prezenty,
wszak przyjdzie Mikołaj Święty!

2013 r.



DYPLOM

Zygfryd B e h r e n d t
urodzony dnia 12 sierpnia 1950 r.
w Buku Góralskim pow. Brodnica
odbył studia magisterskie
na Wydziale Rolniczym

w zakresie **2000 ton**

z wynikiem bardzo dobrym
I po spełnieniu wymogów określonych
obowiązującymi przepisami uzyskał
w dniu 13 listopada 1973 r. tytuł
magistra inżyniera rolnictwa

REKTOR DZIEKAN
/-/T. Krzymowski m. p. /-/Rejowski
Olsztyn, dnia 14 listopada 1973r

Zjednoczenie Państwowych
Przedsiębiorstw Gospodarki Hotelowej
w ŁODZI
90-960 Łódź, okr. poczt. 43
ul. Północna nr 27/29

Łódź, dn. 17 października 1975

Wsp-I-285/75

Ob. mgr.inż. Zygfryd Behrendt

w m i e j s c u

Na podstawie art.14 dekretu z dnia 26.X.1950 r. o przedsiębiorstwach państwowych /Dz.U.z 1960 r.Nr.18' poz.111/ i działając z upoważnienia Ministra Rolnictwa § 12 ust.2 lit. c statutu Zjednoczenia Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej w Łodzi - przenoszę Obywatela z dniem 1 listopada 1975 r. ze stanowiska Starszego Specjalisty d/s.produkcji roślinnej P.G.R. w Błoniu do pracy w Państwowym Gospodarstwie Rolnym O s i e k woj.Łódź.

Jednocześnie powołuję Obywatela z dniem 1 listopada 1975 r. na stanowisko Dyrektora Państwowego Gospodars Rolnego O s i e k. Przyznaję Obywatelowi wynagrodzeni zasadnicze miesięczne w wysokości 6.500.- złotych /sze tysięcy pięćset/ i dodatek specjalny wwysokości 1.000. /jeden tysiąc/ miesięcznie.

Naczelny Dyrektor

inż. Edmund Niewiaro

C



1. Rodzina Zygryda Behrendta, od lewej: Ojciec, Mama i rodzice Mamy.
2. Franciszek Behrendt – Ojciec Zygryda, żołnierz Armii Zachodniej, Italia 1944 r.
3. Dziewczyna, którą poznałem w pociągu Olsztyn–Warszawa – Elżbieta Zduniak z Przytuł pod Krasnosielcem.
4. W urzędzie Stanu Cywilnego w Krasnosielcu – 1975 r.
5. Zygryd Behrendt jako kelner w klubie „Agros” w Olsztynie – 1972.
6. Zygryd Behrendt przy naprawie DT-54.
7. Ciągłe budujemy – 1982 r.
8. Dyplom ukończenia studiów.
9. Pismo Zjednoczenia odwołujące „ze stanowiska” i przenoszące „do pracy” 1975 r.
10. 53 Córka Joanna z rodzicami, 1978 r.

11. Dierhagen, Niemiecka Republika Demokratyczna – praktyka robotnicza 1970 r., od lewej: Tadeusz Mardas (†), Zygfryd Behrendt, Tadeusz Jaros, Grzegorz Buczyński, klęczą Jan Florczyk i Janusz Bernatowicz. 12. Górne Niemcy – Goslar, 1989 r.



13



14



15



16



17



18



19



20

13. Turniej Zakładów Osiek ... 14. Nasza powozownia, 2016 r. 15. Walewice, na podjeździe Pałacu – od lewej: Elżbieta, Francois Van Bockland, Enny Wanters (teściowie Joanny) i Zygfryd Behrendt, czerwiec 2004 r. 16. Wesele w Walewicach – czerwiec 2004 r., młodzi i my. 17. W Belgii – 65 lat małżeństwa dziadków naszego zięcia (Maria i Izydyr – siedzą) Stoją od lewej: Zygfryd i Elżbieta Behrendt, Peter i Joanna – 2008 r. 18. Nasza kareta w Płocku – Dni ul. Tumskiej 2009 r., od lewej: Sławek Roszkowski, Elżbieta, Basia Roszkowska i Zygfryd. 19. Elżbieta w kukurydzy, październik 2012 r. 20. Prace polowe w Dzierżanowie, 2019.